

Anna Amanowicz

W LEŚNEJ
TONACJI

Anna Amanowicz

W LEŚNEJ TONACJI



CENTRUM INFORMACYJNE
LASÓW PAŃSTWOWYCH

Wydano na zlecenie Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych
Warszawa 2008

© Centrum Informacyjne Lasów Państwowych

ul. Bitwy Warszawskiej 1920 r. nr 3

02-362 Warszawa

tel.: (0-22) 822-49-31, fax: (0-22) 823-96-79

e-mail: cilp@cilp.lasy.gov.pl

www.lasy.gov.pl

Redakcja

Wawrzyniec Milewski

Zdjęcia

Anna Amanowicz (A.A.), Marek Dolecki (M.D.), Adrian Frankowski (A.F.), Andrzej Haegenbarth (A.Ha.), Artur Homan (A.H.),
Paweł Janicki (P.J.), Miłosz Krzysik (M.K.), Michał Ogródowczyk (M.O.), Eugeniusz Pudlis (E.P.)

Korekta

Małgorzata Haze

Projekt graficzny

Mateusz Stryjecki

Projekt okładki

Mateusz Stryjecki

ISBN 978-83-89744-85-2

Przygotowanie do druku

ideaextra.com Mateusz Stryjecki

Druk i oprawa

Lotos Poligrafia

ul. Wał Miedzeszyński 98

04-987 Warszawa

Spis treści

Słowo wstępne	7
Od autorki	8
1. Szelesty znad lny	11
2. Żeby tak polatać z ptakami	25
3. Piórkiem i piórem	37
4. Otwieranie drewna	49
5. Uzależniona od gliny	59
6. Nieopodal Świętojanki	71
7. Ocalić od zapomnienia	81
8. Karykatura wszystko zniesie	91

Słowo wstępne

W czasie wielu lat działalności dydaktycznej na Wydziale Leśnym w Poznaniu powtarzałem swoim studentom, że jednym z najpiękniejszych zawodów jest zawód leśnika. Tylko leśnik, po „krótkim śpięciu” z szefem, może „służbowo” wyjść do lasu, by po chwili w bezpośrednim kontakcie z przyrodą całkowicie się wyciszyć.

W każdym leśniku tkwi dusza romantyka, który potrafi dostrzec nie tylko piękno sędziwych dębów, gonnych jodeł i świerków, ale także urok pocziwej brzeziny. A ile uroku zawiera kwiat konwalijki dwulistnej lub wrzosu, ten tylko potrafi zauważyć, kto z pokorą na kolanach spogląda na wspaniałe dzieło Stwórcy. Leśnicy są także znakomitymi obserwatorami zwierząt, i to nie tylko mocarzy, jak żubr, niedźwiedź, łoś, jeleni, ale także tych mniejszych, jak wiewiórka („gajów tanecznicza”), kuna, ryjówka, jeż, czy też bardzo małych z pełnego uroku świata owadów.

Bezpośrednie obserwacje przyrody w zmieniającym się rytmie dobowym i sezonowym dodatkowo uwrażliwiają leśnika na piękno otaczających go borów i lasów. W zależności od nastroju, w jego podświadomości, w gąszczu drzew i krzewów pojawiają się nie tylko bogowie lasu, piękne nimfy, diabeł Rokita, zwany Borowym, ale także postacie z bajek i baśni, zasłyszanych w dzieciństwie.

Wszystko to wpływa na to, że wielu leśników i pracowników administracji leśnej w różnym wieku odkrywa drzemiące w sobie zdolności twórcze. Z dala od szkół artystycznych lub wielkich ośrodków akademickich, z wewnętrznej potrzeby i dla własnej satysfakcji biorą do ręki pióro, pędzel, dłuto, igłę, aparat fotograficzny lub kamerę filmową, by realizować swoje marzenia. Ich efektem są rzeźby, obrazy, witraże, intarsje, kilimy, obrusy, makatki, serwety, fotogramy, filmy, powieści, nowele, wiersze, piosenki... Tworzywem jest nie tylko papier, glina, drewno, ale także лыko, kora, poroże, huba itd.

Spośród liczego grona twórców zawodowo związanych z lasami, pani Anna Amanowicz przedstawiła sylwetki zaledwie kilku, a zaiste wybór był bardzo trudny. Zaletą książki jest to, że Autorka – z wrodzoną intuicją kobiecą – potrafiła w bezpośrednich rozmowach nakłonić twórców także do wielu głęboko ukrytych wynurzeń, niekiedy bardzo osobistych.

Jerzy Wiśniewski

Poznań, w lipcu 2008 roku

Od autorki

Czymże jest piękno? Z definicji to właściwość estetyczna bytu, wynikająca z zachowania proporcji, harmonii barw, dźwięków, stosowności, umiaru i użyteczności. Te wszystkie przymioty ma przyroda, ona jest pięknem. Najpełniej docenili to leśnicy, znajdując w przyrodzie sens życia. Natura na co dzień dostarcza im niezliczonych wrażeń estetycznych, a oni, wdzięczni, chronią ją, a niektórzy, obdarzeni talentem, odtwarzają jej piękno w sztuce. Tylu artystów i pięknoduchów w żadnym zawodzie nie ma jak w leśnym. Czerpiąc natchnienie z lasu, ludzie zawodowo z nim związani rysują, malują, rzeźbią, piszą prozą i wierszem, grają na różnych instrumentach, kolekcjonują ptasie pióra, motyle, tworzą zielniki, fotografują. Chwała im za to! Dzięki tej wszechstronnej twórczości, daj Boże, przetrwają dla potomnych widoki nieistniejących już krajobrazów, portrety drzew, które umarły, ptasie głosy i ginące motyle. Wartość takiego tworzenia jest bezcenna. Bez względu na to, jak bardzo zmieni się świat, uwieczniona przez „leśnych artystów” natura – na płótnie czy kartonie, w prozie czy poezji, w zielniku czy na fotografii – pozostanie na zawsze światem przyrody, jaki można było poznawać i podziwiać. I chronić tam, gdzie jeszcze w takiej postaci pozostał.

Niejeden twórca z leśnym rodowodem wzniósł się na wyżyny swojego warsztatu, stał się artystą pełnoprawnym. Większość leśników tworzy piękne dzieła dla siebie, dla rodziny, dla najbliższego otoczenia, nazywając siebie skromnie amatorami. Prawdopodobnie nigdy ich nazwiska nie byłyby znane szerszemu gronu, a dzieła nie poddane fachowej ocenie, gdyby w 1988 r. Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie nie zorganizował Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Amatorskiej Leśników – OPTAL. Przegląd był pretekstem i zachętą do publicznego zaprezentowania przez leśników owoców swoich, często skrywanych zamiłowań do trzech dziedzin twórczości: malarstwa, rzeźby i fotografii. Przeglądy organizowane są co trzy lata. Ostatni, VII OPTAL, odbył się w 2006 r. Wzięło w nim udział 48 autorów, którzy zaprezentowali 406 prac. Następny przegląd odbędzie się w 2009 r., a w jego rozszerzonej formule znajdzie się także proza i poezja.

Kiedy Centrum Informacyjne Lasów Państwowych zaproponowało mi wybór i zaprezentowanie w wydaniu książkowym ośmiu sylwetek artystów z leśnym rodowodem, nie byłam pewna, czy sobie z tematem poradzę. Słyszałam o OPTAL-u i wiedziałam, że od Gołuchowa trzeba będzie zacząć penetrację środowiska artystycznego leśników. Ale jakie przyjąć kryteria wyboru, kiedy przeglądów było siedem, a na każdym nagrodzono co najmniej kilkanaście znakomitych prac z dziedziny rysunku i malarstwa, rzeźby

i fotografii? A jak dotrzeć do literatów, poetów, do twórców sztuki użytkowej? Zadany temat był jednak dla dziennikarki tak ponętny, że podjęłam go z radością. Znam i bardzo cenię leśników. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych na łamach „Ech Leśnych” przedstawiałam czytelnikom dzieje rodów leśnych, zawarłam wiele przyjaźni, które trwają do dziś. Sama wiele leśnikom zawdzięczam. Ich piękne opowieści o lesie i jego mieszkańcach sprawiły, że z baczniejszą uwagą zaczęłam się przyglądać przyrodzie, dostrzegać jej piękno nawet tam, gdzie wcześniej widziałam brzydotę. Nigdy, na przykład, nie zachwycałam się szkodliwymi dla lasu owadami. Dopiero na fotografiach dr. Stanisława Kinelskiego zobaczyłam, że natura także szkodniki obdarzyła urodą...

Zabrałam się do pracy. Chęci były i źródło gołuchowskie było bogate, tylko wybór trudny. Na szczęście, udało mi się dotrzeć do takich osób, dla których związki z lasem i ze sztuką są jednakowo ważne, a pasja leśna uzupełnia i wzbogaca zamięłowania artystyczne.

Chciałabym serdecznie podziękować bohaterom tej książeczki. Jeśli Czytelnik, po lekturze, zaliczy ją do pozycji interesujących, to Ich zasługa: Danusi Tomaszewskiej, Jacka Frankowskiego, Jarosława Janickiego, Józefa Krzysika, Tomasza Ogrodowczyka, Grzegorza Ożoga, Zbigniewa Smoczka, Sławomira Smyka.

Anna Amanowicz



NADLEŚNICTWO
KLINISKA

1. Szelesty znad Iny

Z notki biograficznej Zbigniewa Smoczka: *Na świat przyszedłem w roku „wypadków poznańskich”. To miejsce na mapie nazywa się Żarnowo i leży blisko Zalewu Szczecińskiego. Rodzice mieszkali wtedy w małej wiosce, gdzie ojciec był leśniczym (pochodził spod Żywca, w 1952 r. ukończył leśnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim i dostał nakaz pracy na Pomorzu), a matka nauczycielką. Byli biedni jak wszyscy w tamtych czasach. Dwa lata później ojciec awansował na nadleśniczego w Kliniskach, a matka została kierownikiem szkoły. Zamieszkaliśmy w wielkim domu, położonym w malowniczym lesie...*

– Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku wieś Kliniska na Pomorzu Zachodnim wyglądała tak, jak zostawiła ją wojna – wspomina poeta. – Z ruinami pod lasem, z brukowaną drogą. Nie było ani jednego domu wybudowanego po 1945 r., a te, które używano, znajdowały się w nie najlepszym stanie. Wieś była cicha i spokojna. Pamiętam, że w rowie przy szosie zbierałem mamie fiołki, i było to bezpieczne, bo drogą, która teraz jest prawie autostradą, jeden samochód na godzinę jechał. Jakże inny był wówczas klimat tego miejsca, inne były zapachy, nawet grzyby inaczej pachniały. Te zapachy dzieciństwa noszę w sobie. Zapach stajni, bo w nadleśnictwie stały konie, które pracowały w lesie, zapach jabłek w piwnicy. I zapach domów. Ten był bardziej naturalny i swojski, bo nie używano się zapachowych środków czystości. Do dziś umieszczam się bliżej świata przyrody niż cywilizacji. Leśniczówka w Łęsku, w której od 27 lat jestem leśniczym, jest moim azylem, moją oazą. W tym cudownym zakątku, wykonując powinności gospodarza łowiska, uczestniczę w życiu lasu, a kiedy nadejdzie wena, piszę wiersze.

Kieruję opowieść poety ku latom młodości. Namiętnie wówczas polował. Miał 11 lat, kiedy od ojca dostał dubeltówkę, prawie tak długą jak on sam. Broń była wojenna, skądś wydłubana. Z ciekawością podglądał przyrodę, której uroda działała na zmysły, kreowała estetykę chłopca. Owe lata to również czas spędzany na tropieniu widocznych jeszcze śladów wojny. Z wypiekami na twarzy chłonął opowieści o ludziach, którzy zamieszkiwali rodzinną wioskę.

– Nie wolno nam było wówczas mówić o Niemcach inaczej niż faszyści, hitlerowcy. Nic nie wiedzieliśmy o dawnych mieszkańcach wioski, a przecież w brutalny sposób została przerwana kilkusetletnia cywilizacja. I pozostała jakaś nostalgia po ludziach, których świat nagle przestał istnieć. Kiedy zaczynałem swoją pracę w Łęsku, moimi najczęstszymi gośćmi byli myśliwi z Niemiec, jeszcze z pokolenia wojennego. Niektórzy urodzili się na tej ziemi. Nie było w nich nawet cienia nienawiści czy rewanżyzmu. Nawiązałem z nimi serdeczne kontakty. Kiedy zorientowali się, że ciekawi mnie historia, przekazywali mi to, co wiedzieli o Pomo-

rzu, bo ich własne dzieci nie były zainteresowane przeszłością. Dzięki nim zgromadziłem przeróżne pamiątki, stare mapy, książki, listy, szkice z tych okolic. I rozumiałem jedną rzecz, że moimi przodkami, takimi duchowymi, są leśnicy niemieccy. Bo innych na Pomorzu nie było. Oni tak samo jak ja kochali ten las, tę zwierzynę. Żeby zachować ciągłość cywilizacyjną tych ziem, człowiek musi się do nich podłączyć, bo innej drogi nie ma. Nikt tym ludziom nie zrobił tutaj na złość, Niemcy sami sobie wojnę wywołali i sami zapracowali na swój los. Ale zapłacili ci najmniej winni. Bo w tych wioskach nie mieszkali naziści. Tu mieszkali rolnicy, leśniczowie. Pracowali, bawili się, bili na zabawach, pili piwo, łapali szczupaki. Jeszcze sto lat temu korytem Iny, która płynie opodal leśniczówki, ciągnięto w stronę Goleniowa i Stargardu barki. Siłą ludzkich mięśni. Ci niemieccy burłacy mieli od lin prawie ramię krótsze. To był trwały ślad po morderczej pracy. Kiedyś polowałem na dziki z zagranicznymi myśliwymi i nagle uświadomiłem sobie, że tu, gdzie strzelają, była wioska. I nikt z tych ludzi, oprócz mnie, tego nie wie. I że tu mieszkali ludzie, uprawiali swoje ogródki, brzęczało rano wiadro, jak wodę wyciągali ze studni, kosili łąki, pielęgowali drzewa owocowe. A teraz tu jest las. Oddaliłem się od myśliwych, przystanąłem w zadumie. Za obrazami przyszły słowa:

*Kto dziś uwierzy, że ta polana była kiedyś wioską
Tylko dziki szukające w ziemi łakoci
Odśaniają czasami kawałki nadpalonych cegieł
Nikt nie siedzi już o świcie z wędką na zakręcie rzeki
Nikt nie puszcza latawców w wietrzne popołudnie
A jednak
Oni rozrzućeni gdzieś po świecie
Dalej śnili czar swojej leśnej polany
I budzili się nad ranem
Gdy dziki z ich snów znów przychodziły niszczyć im ogrody*

(Z tomiku „Wiersze dla Przyjaciół”)

– Jakieś dwadzieścia lat temu ustrzeliłem jelenia. Przebiegł kawałek drogi i się przewrócił. Podchodzę, a tam aż biało od ludzkich kości. Zapamiętałem to miejsce i wskazałem je, kiedy powstawał nieopodal cmentarz żołnierzy niemieckich i z całego Pomorza ściągano szkielety. Wykrywacz metali znalazł maszynki do golenia, guziki, łyżki, pieniądze – wszystko to, co pozostało po ludziach. Zadumany nad ludzką niedolą, zapisałem w notatniku:

*Ty też byłeś dzieckiem
tego samego Boga
Cierpiełeś jak każdy
przechodząc przez ciernie życia
Na stepy Rosji wziąłeś
zdjęcie swojej ukochanej
Dlaczego zboczyłeś
ze ścieżki Dobrego Pasterza
Teraz twoimi kośćmi
bawią się młode lisy
A ty może wreszcie wiesz
że świat jest jak splątana grzywa konia
I nic nie jest w nim proste*

(„Niemiecki żołnierzu” z tomiku „Błękitne ziarno nadziei”)

Niemcy coraz rzadziej przyjeżdżają do Łęska polować. Starsi się postarzelali, młodszy wolą polować u siebie. Ale są tacy, którzy wciąż tutaj wracają, jak Walter Söhl, niemiecki policjant. Kiedyś mi powiedział: Zbig, jak to dobrze, że urodziliśmy się po wojnie. Wcześniej byśmy pewnie do siebie strzelali, a tak jesteśmy dobrymi kumplami... Wzruszył mnie tymi słowami. Nie każdego Niem-

ca na taką refleksję stać. Jestem też dość mocno związany z niemiecką elitą intelektualną. Dzięki takim ludziom, jak hrabina Marion Dönhoff i Hans Graf von Lehndorf, którzy wychowywali się w byłych Prusach Wschodnich, a potem przed Rosjanami uciekli na Zachód, poznałem historię Pomorza i Prus Wschodnich. Ci cudowni ludzie – w czasie wojny trzon opozycji przeciw Hitlerowi – spisali swoje wspomnienia. Miałem możliwość przeczytać je w oryginale.

Znów dyscyplinuję gospodarza, prosząc o powrót do czasu dawno minionego. Do lat siedemdziesiątych, kiedy to „po naukę” wyruszył do wielkiego miasta. W V LO w Szczecinie zaczął ujawniać poetycki talent. Pisywał wówczas teksty do szkolnego pisemka o kolczastej nazwie „Kaktus”. Ośmielony powodzeniem swojej poetyckiej prozy, kilkakrotnie startował w konkursach literackich. I wszystkie wygrywał. Z tego okresu najbardziej jednak „opłacała” była wygrana olimpiada biologiczna – przyniosła bilet wstępu na leśnictwo, bez egzaminu. Wybór padł na Akademię Rolniczą w Poznaniu.

– Studia to był czas pisania do dominikańskiej „Przystani” i czytania zakazanych lektur – mówi poeta. – Miałem wówczas swojego guru, ojca Honoriusza, dominikanina, człowieka z niesamowitym charyzmatem. To był taki poznański Popiełuszko. Pół miasta chodziło na jego msze, na rozmowy z nim, brało udział w spływach kajakowych, w których dominikanin był rozkochany. Umówiliśmy się, że kiedy skończę studia i obejmę leśniczówkę, będzie tam przyjeżdżał z ludźmi szukającymi drogi. Niestety, mój przewodnik duchowy zginął w stanie wojennym, w dziwnym wypadku, najprawdopodobniej spowodowanym przez bezpieczeństwo. I tak zostałem guru sam dla siebie.

W okresie studenckim Zbyszek zawiązał też inne przyjaźnie, m.in. z domem państwa Tyszarskich. Ona była reżyserem, on kierownikiem literackim teatru. Oboje mieli dostęp do kultury w szerokim tego słowa znaczeniu i zasobną bibliotekę, a w niej wydawnictwa drugiego obiegu i książki, które przychodziły z Zachodu, wszystkie zakazane. Zbyszek nie tylko sam z tego źródła czerpał pełnymi garściami, ale też przekazywał książki swoim belfrom z uczelni, którym w PRL odcięto dostęp do świata.

– Polowano wówczas na mnie – wspomina poeta. – Jeden kapuś na uczelni wyczuł, że rozprawdzam książki i zaczęto się mną interesować.

Rozgoryczenie czasem, w którym przyszło mu żyć, zawarł Smoczek w wierszu „Nasza epoka” (z tomiku „Dziennik podróży”):

*Nie dano nam nieba
malować dźwiękiem
na pszczelich skrzypkach
zanucić lipom pochwalny hymn
Patrzeć jak wiersze
rosną nam w różę
na stepie białym
Jedynie czasem
któryś z nas
nim zaduszą w nim głos
wygrazając niebu pięścią słowa
– wychrypi wiersz.*

Zbyszek miał żal w młodości do zastanej ojczyzny także z powodu dramatycznych przeżyć ojca, członka AK, i jego kolegów z partyzanckiego oddziału. Podczas wojny z Niemcami, w imię miłości do ojczyzny „składali na stos” swoje młode życie. A gdy Rosjanie wkroczyli do Polski, nagrodą im były ubeckie więzienia lub zsyłka na Sybir.

Po studiach, z dyplomem w kieszeni, wrócił do swoich Klinisk, do korzeni. Został leśniczym łowieckim. Na co dzień wykonuje swoje powinności na terenie łowiska. Tu najważniejsze są zwierzęta. Niektóre, jak sarny, zające, kuropatwy, bażanty, spędzają sen z powiek leśniczego. Rok w rok ich ubywa. Tylko populacja jeleni utrzymuje się na stałym poziomie. Zagrożeniem dla



pogłowia drobnej zwierzyny są lisy, którym zafundowano szczepienia przeciw wścieklicznie. Pospołu z nimi tępi ją norka amerykańska, intruz, który uciekł z hodowli i „wyciął” wszystkie piżmaki, a teraz atakuje ptaki w gniazdach i ryby. Na dodatek coraz większa jest penetracja terenów Puszczy Goleniowskiej. Kroi się ją jak tort pod zabudowę domów, pod plantacje, pod biznes. Zwierzęta przyzwyczajają się do ludzi, zmieniają swoje obyczaje, obecność człowieka coraz mniej im przeszkadza. – Wydra i bielik, na przykład, zrobiły sobie z mojego stawu, kiedyś pełnego ryb, stołówkę – skarży się leśnik. – Bóbr niedaleko stąd urządził sobie pływalnię i na tę część łowiska już się nie wejdzie. Dziki szaleją, wyzerają na polach wszystko, co smaczne. Koniecznie coś z tym trzeba zrobić.

Do obowiązków leśniczego należą również wszystkie czynności związane z polowaniami dla gości zagranicznych, łącznie z ich zakwaterowaniem i wyżywieniem. Przez 27 lat przez leśniczówkę przewinęło się kilka tysięcy myśliwych. Najpierw tłumnie do Łęska przybywali Niemcy, ostatnio przeważają Duńczycy. Myśliwy-poeta siedzi z nimi przy stole – razem biesiadują, snują opowieści. Przybysze ofiarowują mu swoją wiedzę o sobie, o świecie, w którym żyją. Rodzą się przyjaźnie.

Zwierzęta, które żyją w leśniczówce Smoczka, są traktowane jak domownicy. Otacza je miłością i troską. Jego szacunek dla „mniejszych braci” jest tak wielki, że po śmierci chowa je na cmentarzyku tuż za parkanem leśniczówki. Każde zwierzę ma tam swoją mogiłkę i kawałek szlifowanego granitu z wrytym imieniem, wiekiem, opisem zasług. Na wiosnę poeta sadi tam kwiaty.

– Zwierzęta bardzo wiele w moim życiu znaczą – mówi. – Mieszkam już z trzecim posokowcem – Zuzią. Mój niezujący przyjaciel Lucek mawiał: „Człowiek, który nie lubi psów, jest dla mnie podejrzany”. I dla mnie stosunek człowieka do zwierząt jest bardzo ważnym wyznacznikiem. Jeśli widzę, że ktoś źle się do nich odnosi, ten nie ma szans na zaprzyjaźnienie się ze mną. Kiedyś byłem zawziętym myśliwym. Im jestem starszy, tym mniej pociągają mnie polowania. Dorosłem do podziwu dla wszystkich istot żyjących. Bo wszystko w tym świecie jest fantastyczne, niesamowite. To, że jeleń może w jedną noc przejść 30 kilometrów i trafić od jednej łączki do drugiej. To, że dzik potrafi odwiedzić dęby odległe od siebie o kilkanaście kilometrów, co można stwierdzić po śladach na śniegu. Nawet komar jest niesamowitym, godnym podziwu stworzeniem. Brak po prostu słów na opisywanie tego świata, bardziej wypada milczeć. A my ten świat tylko beztrósko konsumujemy. Zajęci samochodami, komputerami, marnujemy życie, nie smakując go, nie poznając tej całej jego cudowności.

A czy poeta tę cudowność poznał, posmakował?

– Żeby stworzyć dzieło artystyczne, twórca musi głęboko przeżywać świat – mówi Smoczek. – Nic wartościowego nie wyjdzie spod jego ręki, jeśli wcześniej nie nałyka się życia, nie zgromadzi wiedzy, nie naczyta się książek, nie będzie świadkiem wydarzeń. Dopiero z takiego zacieru destyluje się sztukę. Sztuka, owoc intensywności uczuć, jest nieodłączna z cierpieniem. Większość

artystów płaci za nią wysoką cenę, niektórzy najwyższą. I ja zapłaciłem za swój dar dwudziestoma latami niemocy twórczej, kiedy słowa uciekały spod pióra, w głowie plątały się myśli, cierpienie granoczyło z szaleństwem. Za te tomiki wierszy, które położyłem przed panią, musiałem zapłacić cenę wewnętrznego cierpienia. Nie udźwignąłbym tego krzyża, gdybym nie odnalazł drogi do Boga, nie dokopał się do Niego w sobie samym. Pomógł mi w tym cudzoziemiec, którego spotkałem przypadkiem podczas mego pobytu w Szwajcarii. Ten człowiek chodził w Alpy sam, żeby być bliżej Stwórcy, żeby pogłębić i wzmocnić swoją duchowość. Był nauczycielem upośledzonych dzieci. Głęboka wiara dawała mu siły do wytrwania w trudnej pracy. Ten człowiek uświadomił mi, że bez Najwyższego nie udźwignę swojej sztuki, bo to Bóg jest reżyserem mojego życia. On do mnie mówi szeptem, podpowiada słowa, z których układam wiersze. Dziś mocno trzymam się Jego drogi. Oddałem Mu swoje ambicje, swój rozwój i rozgłos. Wszędzie głoszę, że jestem tylko pośrednikiem Kogoś większego od siebie. Bóg też stawia na naszej drodze ludzi, którzy odciskają piętno na naszym życiu, poprzez nich do nas przemawia. I mnie takich postawił. Ja w środku lasu, w jednej chałupie, a tu siedem kilometrów ode mnie spotykam Joannę Kulmową, bardzo znaną na Pomorzu poetkę, reżysera teatralnego, autorkę utworów dla dzieci, tłumaczkę z sześciu języków. Obcowanie z nią, czerpanie garściami z jej bogatej biblioteki to był podarunek od losu. Była pierwszym recenzentem moich wierszy i chyba dzięki niej z poezją zostaną na zawsze. Niedaleko od leśniczówki wybudowała dom Irena Brodzińska, śpiewaczka. Często tam bywam, bo to również jest miejsce dla poety inspirujące. Inspirujący jest też mój kontakt z Wandą Czubernatową, poetką, znajomą księżdzę Tischnera, szefową konkursu poetyckiego jego imienia. Ja napisałem dla niej wiersz, ona przysłała mi cudowne listy. Ta korespondencja wiele dla mnie znaczy. W przedziwny sposób poznałem Wacława Jagielskiego, malarza z Nowego Sącza, który przyjechał w moje strony na plener. Pomyliłem drzwi i zupełnie niechcący wszedłem do jego pokoju. Moja twórczość jest z gruntu chrześcijańska, a Wacek jest malarzem chrześcijańskim. To taki człowiek, który co wieczór z całą rodziną klęka do pacierza. Jego obrazy są jakby przesycone światłem spoza nas. Jest w nich miłość, ciepło, są bajeczne kolory. Postanowiliśmy wydawać razem. Trzy tomiki z moją poezją – „Błękitne ziarno nadziei”, „Szelest nieskończoności”, „Wiersze dla mojej mamy” – ilustrowane są przez Wacka. Czytelnik czyta wiersze, ogląda obrazy – dostarczamy mu podwójnych doznań. I czy to nie jest od Boga, że ja, siedząc w tej głuszy jako leśniczy, poznałem takich wspaniałych ludzi? I mogę wydawać książki, bo nawet drukarzy mam zaprzyjaźnionych i sponsorzy się znajdują. Mówię o tym na spotkaniach z miłośnikami poezji w Gdańsku, Warszawie, skąd otrzymuję zaproszenia. Bardzo korzystne dla twórców jest także to, że w tak ogromnym przedsiębiorstwie, w Lasach Państwowych, jest miejsce dla ludzi „zakręconych”, że leśnicy-artyści mają wielkie oparcie w pracodawcy.

Znaczącą rolę w życiu Smoczka odegrały i odgrywają kobiety. I choć ma za sobą dwa nieudane związki, nie stracił dla pań szacunku i podziwu.

*Kobiety nigdy nie strzelały
w tył głowy oficerów
Nie otwierały luków bombowych
nad dachami miast
To nie one wymyśliły Auschwitz
i wszystko co się z nim wiąże
Nie ich dzieckiem był terror
i dyktatura proletariatu
Nie one wreszcie ukrzyżowały Pana
Ich lament wtedy pod krzyżem
słyszeć można do dziś.*

(Z tomiku „Błękitne ziarno nadziei”)

– Kobiety są wspaniałe – mówi poeta. – Żaden mężczyzna, który coś w życiu osiągnął, nie zrobił tego sam. Zawsze z tyłu za nim, czasem ledwie widoczna, stała kobieta i pociągała za sznurki. Mam wśród pań wiele przyjaciółek. Pełnymi garściami korzystam z ich mądrości. Wszystkie sprawy związane z moją twórczością załatwiam z kobietami. One są też największymi fankami poezji. Moimi doradcami i recenzentami. Poświęciłem im wiele wierszy. Prawie w całości wypełniły ostatni tomik, który zatytułowałem: „Wiersze dla Przyjaciół”. Kobiety są dla mnie lepszą, wrażliwszą stroną ludzkości. Dobra, wrażliwa i silna jest moja matka. Ojciec dał mi polowanie, dał mi las. Ona dała całą resztę: inteligencję, otwartość na ludzi, życzliwość. Mama całe swoje życie oddała innym. Kiedy była kierowniczką szkoły, wszystkie dzieci były jej, kiedy objęła stanowisko w wydziale oświaty w Szczecinie, pomagała wszystkim tak, jakby byli jej rodziną. Teraz jest staruszczką.

Kiedy moja mama pojedzie do nieba
wezmie za sobą mopa
i szmatę do scierania kurzu
Niebo na pewno też trzeba posprzątać
Pomalować skrzydła aniołom
Panu Bogu zrobić pieczarkową zupę
a na drugie sznyceł z kiszonym ogorkiem
Wstać o czwartej rano
i przygotować Mu śniadanie
zanim pojedzie do pracy
"Sądzić żywych i umarłych".

8



*Codziennie siadam przy Tobie Mamo
gdy noc opiera swoją czarną brodę
na parapecie okna
Chcę Ci powiedzieć że Cię kocham Mamo
tę garść kosteczek
spracowane ręce
A słowo miłość nie jest mi już ciężkie
Zaczekaj
spróbuję otulić Cię wierszem
i starzeć się razem z Tobą.*

– Ten wiersz jest wyjęty z tomiku „Wiersze dla mojej mamy”, który ofiarowałem Tej Jedynej z okazji Święta Matki. Jest przepięknie graficznie ozdobiony przez Wacka Jagielskiego. Moja poezja, jego obrazy – radość i wzruszenie Mamy.

– Pyta Pani o autorytety poetyckie? Bardzo cenię księdza Twardowskiego, mniej za poezję, więcej za ogromną mądrość, którą zawarł w drugiej części autobiografii, kiedy był już bardzo starym człowiekiem. Kapitalne myśli, które tam odkryłem, pomogły mi w budowaniu poglądu na świat. Lubię pojedyncze wiersze, genialne, które udaje się napisać poecie jeden na tysiąc. Za taki uważam wiersz Miłosza „W Rzymie, na Campo di Fiori”. Wciąż noszę przy sobie i innym rozdaję wiersz Wandy Czubernatowej „O kocie Szymku” – jest genialny w swojej prostocie. Wiersze innych poetów czytam nie dla inspiracji, ale z czystej ciekawości. Bo człowiek musi pracować nad własnym głosem, trzymać się własnej drogi. I od wszystkiego, co mu przeszkadza, uciekać. Moje najlepsze strofy są jeszcze przede mną.



1

1 Zbigniew Smoczek pogrążony
w lekturze (E.P.)

2 Tomiki wierszy Zbigniewa Smoczka



2

Siadamy przy kominku. Jest wieczór, cisza jak makiem zasiał. Poeta sięga po swój ostatni tomik, jeszcze w maszynopisie. Czyta:

*Panie dziękuję Ci za przyjaciół
Wtedy kiedy wiatr wieje w oczy
Podpierają nas jak ogrodnik
Brzemionną jabłkami jabłoń
Kocham Was za to moi przyjaciele
I jeszcze za to że będzie komu rzucić
Gdy przyjdzie czas na pożegnanie
Garść piasku...*

A potem rozmawiamy o marzeniach.

Czasami jeden dzień urodzi jedno zdanie, czasem to jedyne zaprowadzi do lasu, gdzie słowa rosną jak grzyby. Chcę, by w moim pisaniu mieszkała prostota i jasność. Był wreszcie On, który jest ponad wszelkim słowem i z Niego to się bierze. Bo nie umiem mówić ni patrzeć inaczej jak pisaniem. Zwinność słowa, osiągnąć tę słynną zwinność i... Wio saniom, niech grają dzwonki, trzaska bat czystą melodią!



2. Żeby tak polatać z ptakami

Pojezierze Międzychodzko-Sierakowskie, z Puszcą Notecką w tle, przepięknie ukształtował lodowiec. Mnóstwo tu jezior, wzgórz morenowych, wydm, meandrujących rzek i bystrych strumieni. I przede wszystkim są bagna i torfowiska, które zachowały namiastkę naturalnych ekosystemów, gdzie życie jest pełne i dzikie, rozśpiewane ptasimi głosami. Tomasz Ogródowczyk dziś mieszka i pracuje z dala od tych terenów, ale rozkochany w Krainie Stu Jezior, swoim „miejsce na ziemi” (urodził się w Sierakowie, później mieszkał w Kwiliczu), ciągle tutaj wraca z aparatem i kamerą, by uwiecznić w fotografii i filmie jego piękno. I zauroczyć nim innych.

Impulsem, który skierował przyrodnicze zainteresowania Tomka na dziką faunę, była lektura albumu fotograficznego Jaroslava Holečka „Polowanie z kamerą”, kupionego przez rodziców siedmiolatkowi, składającemu już litery. Były tam profesjonalne ujęcia zwierząt, reprezentujących poszczególne gatunki. Każde miało swoją metryczkę opatrzoną numerem. Tomkowi tak się spodobały, tak się zapamiętał w oglądaniu albumu, tak zaczytał, że potrafił na wywołany numer podać nazwę zwierzęcia i odwrotnie – do zwierzęcia dopasować numer. Kiedy nie miał jeszcze aparatu i nie fotografował, powycinał z tej książki zdjęcia i wkleił do zeszytu. To był jego pierwszy album fotograficzny. Zauroczenie naturą pogłęбили u Tomka nauczyciele przyrody w podstawówce w Kwiliczu, którzy całkowicie odeszli od werbalnej metody nauczania. Prowadzili młodzież nad staw, nad potok, do lasu, razem z uczniami zakładali akwaria, jednym słowem poprzez bezpośredni ogląd, dotyk i smak natury ukazywali jej pożytek i piękno. A przy tym mieli dar ciekawego opowiadania i jakiś magnetyzm w głosie, który przykuwał uwagę uczniów.

Fotografowanie zaczęło się w szóstej klasie podstawówki, aparatem ami. Tomek kupił go za kieszonkowe, ówczesne 200 złotych. Wspomina go z rozczuleniem jako dobrego druha, kompana pierwszych fotograficznych wypraw. Po nim był aparat niemiecki walti, na wąskie filmy, taki z wysuwającym mieszkiem. Zrobił nim pierwsze udane fotografie. Były to łabędzie siedzące na gnieździe.

– Pamiętam – wspomina pan Tomek – jakie miałem problemy z tym aparatem. Pstryk! I jest ujęcie! Ale żeby zrobić kolejne, trzeba było szybko wykonać dwie czynności: pokręcić gałką, by przesunąć film, i specjalną dźwigenką naciągnąć migawkę, a to



1



2



3



4

wykraczało już poza obręb mojej kryjówki. Nie zastanawiając się długo, przywiązałem do dźwigienki kawałek sznurka i pociągałem nim po każdym pstryknięciu. Nagimnastykowałem się przy tym fotografowaniu co niemiara, ale zdjęcia wyszły śliczne.

Sprzęt był jednak niedoskonały, standardowy obiektyw nadawał się wyłącznie do robienia fotografii niepłochliwym i dużym ptakom. Tomek nie był zadowolony. Marzył o żurawiach, chciał je uchwycić w ruchu, w locie. Młody fotograf zaczął rozglądać się za doskonalszym aparatem, z podglądem na matówce, do którego mógłby dokręcić długoogniskowe obiektywy. Była w tym dążeniu pełna determinacja. Zachłannie rozczytywał się wówczas w albumach przyrodniczych Włodzimierza Puchalskiego, pięknie ilustrowanych fotografiami. Ten zapalony przyrodnik, fotografik, reżyser i operator filmów przyrodniczych stał się dla Tomka wzorem. Podziwiał Puchalskiego, rozsmakowywał się jak on w bezkrwawych łowach (Puchalski pierwszy określił fotografowanie tym mianem), od niego też przejął wzorce maskowania się i budowania ukryć.

– Pierwszego zenita kupiłem jako ósmoklasista – wspomina pan Tomasz – za własne pieniądze zarobione w wakacje. Otóż założyłem hodowlę jedwabników morwowych. Zakupiłem jajeczka i z nadzieją, że doczekam się dorodnych kokonów, chuchałem na nie i dmuchałem. Hodowla trwała sześć tygodni. Najgorsze były dwa ostatnie, kiedy gąsienice tak zachłannie żarły morwowe liście, że nie mogłem nadażyć z ich dostawą. Radość była jednak ogromna, gdy po sprzedaniu produkcji ruszyłem z ojcem do Poznania, by zakupić wymarzony sprzęt. Ten pierwszy zenit był, co prawda, z obiektywem zwykłym, standardowym, ale bardzo szybko dokupiłem dłuższy, 200-milimetrowy, niemiecki sonar. Z tym aparatem mogłem już robić porządne zdjęcia nawet płochliwym ptakom. Po zenicie była practica, potem minolta z autofocusem, a na studiach przerzuciłem się na sprzęt Canona. Ojciec cały czas przyglądał się moim poczynaniom i kiedy przekonał się, że zainteresowanie syna przyrodą jest poważne, a fotografowanie przeradza się w pasję, kupił mi kamerę, wówczas na taśmę. Niewiele, co prawda, z tego filmowania wychodziło, bo jakość sprzętu była słaba, ale młodego adepta fotografii wyraźnie ukierunkowało.

Tomek własnymi zdjęciami nigdy nie zapełniał albumów. Zawsze chciał się nimi dzielić. Miał lat 16, kiedy swoje fotografie z krótkim tekstem wysłał na konkurs pn. „Moje ptasie uroczysko”, ogłoszony przez redakcję „Świata Młodych”. Ku swojemu zaskoczeniu, znalazł się w gronie pięciu osób wyróżnionych. Od redakcji otrzymał książkę pt. „Jaki to ptak?”. To był jego pierwszy kontakt z prasą. Dziś, kiedy jest już fotografem „pełną gębą”, stałe kontakty utrzymuje ze znanymi tytułami przyrodniczymi, m.in.

1 Jedno z pierwszych zdjęć wykonanych przez Tomka – łabędzie nieme

2 Żurawie

3 Czajka

4 Rokitniczka



1

2

3



z „National Geographic”, „Przyrodą Polską”, „Łowcem Polskim”, „Głosem Lasu”. Ma na swoim koncie ponad 170 publikacji prasowych. Ostatni jego tekst, z własnymi fotografiami, opublikowany w 2007 r. w kwartalniku „Film, Art & Tourism”, dotyczył realizacji filmu „Rok w puszczy”.

Jako zdeklarowany w szkole średniej miłośnik natury, miał chrapkę na studia leśne w Akademii Rolniczej w Poznaniu, które miały się stać furtką do zawodowego zajmowania się przyrodą. Ale się nie dostał, bo za słabo zdał matematykę. Trafił na rolnictwo. Po pół roku miał się przenieść – nie wyszło. Próbował po roku, ale mu powiedziano, że studia musi zacząć od początku, więc spasował. Jeszcze nie dawał za wygraną. Na trzecim roku studiów połączył dzienne rolnictwo z zaocznym leśnictwem, ale przed końcowymi egzaminami na ostatnim, czwartym roku się wycofał. Został magistrem rolnictwa i leśnikiem „niedokończonym”. Z gruntowną jednak wiedzą przyrodniczą, bo na Akademii ją właśnie najbardziej chłonał i opanował (praca magisterska dotyczyła ptaków i roślin zbiorowisk bagiennych). Z takim statusem podjął pracę w Leśnym Studiu Filmowym Ośrodka Rozwojowo-Wdrożeniowego Lasów Państwowych w Bedoniu, które od 1984 r. realizuje filmy instruktażowe i dokumentalne z dziedziny leśnictwa, przedstawiające m.in. bogactwo przyrodnicze Polski. Celem tych filmów jest dydaktyka – wzbudzanie w ludziach szacunku dla naturalnego dziedzictwa, uświadamianie, jak ogromny mają wpływ na środowisko. Pracujący tutaj ludzie – operatorzy, montażyści i fotografowie – są nie tylko profesjonalistami w swojej dziedzinie, ale przede wszystkim entuzjastami. Idealne miejsce pracy dla pana Tomka. Znalazł się wśród „swoich”. Ponieważ jest ambitny, zależało mu, by amatorską wiedzę na temat filmowania, którą posiadał, usystematyzować i przenieść na grunt przyrodniczy. W 2003 r. ukończył zaoczne studia w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Dziś na swoim koncie ma już sporo znakomitych filmów przyrodniczych, z których dwa – „Moczary i uroczyska” i „Rok w puszczy” – obsypane zostały nagrodami krajowymi i międzynarodowymi.

– Tu, w Ośrodku, kręcimy filmy takie, jak niegdyś robił Włodzimierz Puchalski – podkreśla pan Tomasz. – Głównie krótkie formy, od 10 minut do pół godziny, bo to czas najlepszy dla percepcji odbiorcy. Filmy przyrodnicze są oczywiście dokumentami, ale musi być w nich zawarta jakaś myśl przewodnia, jakaś fabuła, akcja. Jeżeli w pierwszych ujęciach zobaczymy żabę, która składa skrzek, to w kolejnych powinniśmy się spodziewać wylęgu kijanek. To swoista narracja filmu przyrodniczego – tak jak w przyrodzie, na żywo. Tego typu filmy są kręcone nie tylko dla osób, które nie mają wiedzy o gatunkach i zwyczajach zwierząt, ale dla wszystkich, którzy kochają przyrodę. Dlatego bardzo dużą rolę odgrywa tutaj komentarz, na który przenosi się wiele informacji. Kręcimy

- 1 Tańczący żuraw
- 2 Tomasz Ogrodowczyk w kryjówce zbudowanej z namiotu (M.O.)
- 3 Gęś gęgawa

też filmy instruktażowe. Dwa lata temu, z myślą o leśnikach i służbach granicznych, realizowaliśmy film o barczatce syberyjskiej, szkodniku kwarantannowym, który pod postacią poczwerek, jaj czy gąsienic może z drewnem dotrzeć do Polski i dalej na zachód. Przekazaliśmy w nim nie tylko informacje o biologii barczatki, ale również, jak się przed nią bronić, jak zapobiegać ewentualnej gradacji. Kilka lat wstecz filmy, które powstawały w Ośrodku, docierały tylko do leśników. Dziś, dzięki reklamie, trafiają do szerokiego grona odbiorców. Mamy zamówienia z Australii i Ameryki. Ludzie kupują nasze filmy także przez Internet.

Fotografowanie i filmowanie przyrody, szczególnie ptaków, wymaga niezwyklej cierpliwości, wytrwałości. Pan Tomasz mówi o sobie, że jest człowiekiem niecierpliwym. Wszystko, co robi, chciałby robić szybko i błyskawicznie widzieć efekty. Sam się sobie dziwi, że w wyciszeniu potrafi siedzieć w kryjówce i godzinami czekać na ciekawe sceny z życia zwierząt. Tłumaczy, że to przyroda ma na niego mobilizujący i łagodzący wpływ. Ona go wycisza. Swoje ukrycia pan Tomasz rzadko ustawia w pobliżu gniazd. Szuka wodopoju, żerowiska, jakichś miejsc otwartych, lustra wody gdzieś na bagnie. I potrafi z tych samych kryjówek korzystać kilka lat. Stałe miejsca są korzystne dla fotografa przyrody, bo zwierzęta przyzwyczajają się do jego obecności, a jeśli nawet je spłoszy, to za chwilę wróćą – zdjęcia można robić dosłownie z marszu.

– W zeszłym roku – wspomina pan Tomasz – poświęciłem trzy tygodnie marca, żeby fotografować żurawie na przelotach, podczas toków, kopulacji, walk. To były niesamowite przeżycia. Żurawie nocowały na bagnie – zrywały się przed świtem, około szóstej, odlatywały przed zmierzchem. Dwa pierwsze tygodnie były dla mnie czasem nauki. Obserwowałem, gdzie najczęściej ptaki się zatrzymują, jakie mają zwyczaje, próbowałem wejść w ich mentalność. I, co bardzo ważne, starałem się wybrać sensowne ukrycie. W końcu wybrałem. Był to zwykły rozkładany namiot, tyle że przysypany zeszłoroczną, spłowiłą trawą – wyglądał jak kopka siana. Ustawiłem go między nogami ambony myśliwskiej. W tym ciasnym namiociku siedziałem po turecku na styropianie od przedświt do zmierzchu. Czasem padał śnieg, czasem deszcz, to znów deszcz ze śniegiem. Wchodzę do niego pewnego ranka, a tam pełno wody. Ile musiałem się napracować, żeby woda odeszła. Ale trudy szybko poszły w niepamięć, kiedy zobaczyłem efekty mojego fotografowania. To były naprawdę ciekawe zdjęcia.

Ciekawe – to skromnie powiedziane. One są znakomite. Powstała z nich diaporama – krótki, udźwiękowiony pokaz zdjęć przyrodniczych – „Pieśń o wiośnie”. Oglądam ją na ekranie monitora i odnoszę wrażenie, że to nie pokaz statycznych obrazów, ale znakomita krótka fabuła. Przenoszę się na łono najbliższej polskiej przyrody. I oto, przy akompaniamencie muzyki klasycznej, odbywają się ptasie gody – prawdziwy żurawi balet. Żurawie kroczą, podskakują, z niezwyklej gracją wymachują i trzepoczą skrzydłami, wydając przy tym charakterystyczne krzyki. Jakaż dynamika w scenach walk między konkurującymi ptakami! A wszystko to przeplecione krajobrazami budzącej się wiosny.

– Żal – wzdycha autor – że nie mogłem obrazów nasycić zapachami.

Trzy lata temu, w 2005 r., Związek Polskich Fotografów Przyrody zorganizował konkurs „Wizje natury” (co drugi rok konkurs ma zasięg międzynarodowy), na którym najlepsi polscy fotografowie przyrody prezentują swoje autorskie diaporamy. Pan Tomasz brał w nim udział od początku. Za pierwszym razem, w konkursie krajowym, otrzymał wyróżnienie i nagrodę publiczności („Tajemnice mokradeł”). W „międzynarodowym” 2006 roku – pierwsze miejsce i nagrodę publiczności („Rykwisko”). W roku 2007 szacowne jury przyznało za „Pieśń o wiosnie” najwyższe trofeum – Grand Prix. Kiedyś artysta powiedział: „Jeśli dostanę Grand Prix, to się z konkursu wycofam”. Słowo się rzekło. W „Wizjach Natury 2008” pan Tomasz zasiadł za stołem sędziowskim.

Za fotografie i diaporamy spadł na pana Tomasza, począwszy od 1996 r., deszcz nagród i wyróżnień. Z IV Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Amatorskiej Leśników OPTAL (1998) w Gołuchowie artysta wyjechał z nagrodą w dziedzinie fotografii. Brązowym medalem za fotograficzną twórczość uhonorował go Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej (Multidiaporama 2006). XV międzynarodowy konkurs fotografii przyrodniczej na Węgrzech w 2007 r. przyniósł mu nagrodę drugą. Aż żal, iż nie mogę wymienić wszystkich honorów, które spadły na artystę za jego fotografie i diaporamy.

– Z pewnością nieraz wielu z nas marzyło – mówi pan Tomasz – jak dobrze byłoby mieć skrzydła, wznieść się pod chmury i spojrzeć na ziemię z wysoka. Dzięki technice możemy zrealizować to pragnienie i oglądać świat z perspektywy ptaka. Widziane z dużej wysokości brzegi jezior i wysp, szachownice pól i łąk pociętych krętymi sznurami dróg, rzek i strumieni, pozłoczone przez jesień lasy liściaste, odcinające się od ciemnozielonych borów... – wszystko to zachwyca, a dla każdego miłośnika fotografii jest nieodpartą pokusą, by utrwalić te wrażenia na kliszy i podzielić się nimi z innymi.

Panu Tomaszowi tę pokusę udało się zaspokoić. Latał na różnych maszynach. Na antkach, jakach, wilgach, helikopterem, motolotnią, balonem.

– Lata się rankiem i wieczorem, bo światło o tej porze jest bardzo miękkie i ciepłe w tonacji, rzuca długie, plastyczne cienie. Dobrze fotografuje się z wilgi. Ten samolot nie leci za szybko, nie trzęsie, można lecieć raz wyżej, raz niżej. Niezłe są helikoptery, których wirniki mają dobrze wyważone płyty i pokład nie wpada w drgania. Motolotnia też jest przydatna, bo można nią lecieć bardzo nisko. Świat widziany z wysokości jest piękniejszy – niezwykle barwny, świeży i czysty, bo śmieci nie widać. Nalatałem się do syta, narobiłem bardzo dużo zdjęć. Część z nich pojawiła się w różnych wydawnictwach. Wystarczy!

Pan Tomasz swoimi zdjęciami chce się dzielić z tymi, którzy dzikiego świata zwierząt nie widzieli i pewnie w życiu nie zobaczą. Bo nie są w stanie wstać przed świtem, pójść na bagno, ugrzęznąć w błocie po pachy, by się dostać do ukrycia i podejrzeć z bliska dzikie ptactwo czy inną zwierzynę. A to właśnie jest najbardziej ekscytujące.



1



2



3



4

Pytam artystę, co cieszy w fotografowaniu najbardziej.

– Udane kontakty z dzikimi zwierzętami – odpowiada. – Kiedy mam pewność, że mnie nie wyczuwają i zachowują się normalnie. Najcenniejsze są te zdjęcia, którym poświęciłem najwięcej czasu i wysiłku, a więc fotografie dynamiczne, w biegu, w ruchu. W nich są moje emocje, smutne i radosne doświadczenia. Takie właśnie zdjęcia wysyłam na konkursy, a koledzy, wskazując inne, pytają: dlaczego tamto, a nie to? Ocena własnych zdjęć jest bardzo osobista, subiektywna. Jak się na konkurs wysyła fotografie, trzeba mieć na uwadze przede wszystkim to, czy inni je docenią. Ale w człowieku jest serce matki...

Przyrodnik od zawsze, fotograf od z górą ćwierć wieku, filmowiec od lat piętnastu. Z ogromnym dorobkiem w każdej z tych dziedzin. Aż dziw, że zajął się jeszcze jedną. W 1998 r. odebrał telefon z zapytaniem, czy nie mógłby nagrać na płytę ptasich głosów, by można ich było używać jako dźwiękowego tła do filmów. Wymawiał się, że tego nie robi, że nie ma odpowiedniego sprzętu, nie bardzo ma czas. Ale to była zasłona. Mitygował się z obawy, że nie podoła nowemu wyzwaniu. A jednak obudziło ono duszę przyrodnika. Kupił mikrofon kierunkowy, minidysk do nagrywania i poszedł w teren.

– Zacząłem od ptaków najprostszych – wspomina. – Takimi są słowiki.

– Nie wróble są najprostsze? – pytam.

– Wróble są cwane. Gdy się mikrofon w ich stronę kieruje, natychmiast odfruwają – odpowiada pan Tomasz. – A słowiki śpiewają w nocy, w zaroślach, można je podejść bardzo blisko. Mają donośny głos, więc niedoskonałość sprzętu jest jakby drugopłanowa. Ale dźwięk po nagraniu jest surowy. Musiałem nauczyć się odszumiania, wyrównywania dźwięku i wielu innych zabiegów, by na każdym sprzęcie ów ptasi śpiew dobrze brzmiał. Pierwszego słowika, rdzawego, nagrałem w parku w Kwiliczu, mojej rodzinnej miejscowości. Później były kosy, drozdy i inne ptaki, także żaby i rzekotki. W 1999 r. powstała z tego płyta. Za cykl płyt CD z głosami zwierząt otrzymałem w 2007 r. Nagrodę Lasów Państwowych im. Adama Loreta.

Nagrywając głosy natury, artysta ma świadomość, że zachowuje dla kolejnych pokoleń coś z dzikiej przyrody, która, niestety, odchodzi lub co najmniej się zmienia. Tyle w kraju terenów, niegdyś dźwięcznych i rozśpiewanych, dzisiaj jest cichych. Coraz trudniej znaleźć miejsca bez cywilizacyjnego szumu. Nawet parki narodowe nie są ciche.

– Jak tu robić nagranie, na przykład w Puszczy Białowieskiej, kiedy samoloty, jeden za drugim, nad nią przelatują – utyskuje artysta. – Ile się trzeba natrudzić, napocić, by wyeliminować je z tła.

1 Walczące cietrzewie

2 Puchacz

3 Śpiewający trzciniak drozdówka

4 Tomasz Ogrodowczyk z mikrofonem

kierunkowym do nagrywania głosów ptaków (A.H.)



1

2

3



Potrafi rozpoznać głosy wielu ptaków. Uczył się tego z kaset, z płyt.

– Nawet ptasich oszustów-poliglotów rozpoznam – mówi. – Słyszę, na przykład, głos wilgi, a ja wiem, że na nią jeszcze za wcześnie, jeszcze nie przyleciała, bo to początek kwietnia. To szpak łobuz wilgę udaje. Mamy sześć gatunków sikor, ich zasób głosów i dźwięków jest tak ogromny, że łatwo się pogubić. Taka sikora bogatka ma ponad 250 sposobów odzywania się. Jeśli nie słyszałem jednego z nich, to nie mogę być pewny, czy to bogatka. Wyciągam wówczas lornetkę i próbuję ptaka zobaczyć. Jeśli się nie uda, to szukam po różnych płytach. Ale większość głosów rozpoznaję. To jest w zasadzie proste do nauczenia się, bo śpiew ptaków ma charakterystyczną dla poszczególnych gatunków strukturę, składa się z sylab, które łącząc się, tworzą frazy i zwrotki. Najpiękniejszy głos? Oczywiście słowika. Głos rozbrzmiewający w ciszy, w ciepły, majowy wieczór – gdzieś tylko rzekotki słychać w tle i delikatny oddech zarośli. Prócz słowika jest ptak, który wcześniej niż słowik zaczyna śpiewać. To kos. Ma przepiękny, fletowy głos. Zaraz po kosie rozpoczyna trele drozd-śpiewak. Kiedy jeszcze w lesie cicho, a inne ptaki milczą, ci trzej śpiewacy takie już koncerty dają, że nowy duch wstępuje w człowieka, nowy wiew, nowe życie.

– I nowe pragnienia? Marzenia o szczęściu?

– Jestem człowiekiem szczęśliwym. A pragnienie? Moim marzeniem jest zdjęcie, którego do tej pory nie udało mi się zrobić. Jeśli ktoś sądziłby, że w dekoracji domu artysty fotografa dominują jego własne fotografie, doznałby rozczarowania. Są tylko trzy, na ścianie w saloniku – dwa zachody i jeden wschód słońca. Dlaczego te?

– Dla innych to kiczowaty temat, banał – dla mnie nie. Każdy wschód i zachód jest inny i każdy fascynujący. Trochę mi się już opatrzyły, dlatego niebawem wymienię je na żurawie.

Zawód i pasje gospodarza dokumentują sprzęty w jego gabinecie: aparaty, kamery, komputer, głośniki, mikrofony i plecaki. Na ścianie fotografia ryby, ruina na tle zachodzącego słońca, kalendarz ze zwierzątkami i rysunek żurawi – prace przyjaciół.

– Czy ciebie również pasjonuje przyroda i fotografowanie? – pytam młodszego z synów pana Tomasza, 11-letniego Filipa, bo o starszym, Hubercie, wiem, że oddaje się chemii i informatyce.

– Tak – odpowiada – mam nawet własną cyfrówkę i czasem towarzyszę tacie w wyprawach do lasu. Ale moje hobby to fantastyka i komiks, które rysuję, im właśnie się poświęcam.

Oglądam obrazki Filipa. Są znakomite w formie i w kolorze. I są na nich zwierzęta. Co prawda głównie smoki i dinozaury, ale w tym wieku wyobraźnia ma prawo brać górę nad rzeczywistością.



3. Piórkiem i piórem

Leśniczówkę Masów (Nadleśnictwo Kup), położoną 12 km od Opola, natura „napiętnowała” swoistym urokiem: oddaleniem od gwaru świata, bliskością lasu o zróżnicowanym drzewostanie, skrawkiem pola okraszonego krzewami i liściastymi ostańcami, obfitością ptactwa i – na wyciągnięcie ręki – bliskością dzikich zwierząt.

Odkąd Jarosław Janicki wziął leśniczówkę w posiadanie, najbliższemu otoczeniu jeszcze blasku przybyło. Własnoręcznie ułożone skalniaki zazieleniły się i zakwitły w przydomowym ogrodzie. Wkomponowane w otoczenie oczka wodne – przystań traszek, kałużnic i pływaków żółto-brzeżków, ważek i świtezianek, miejsce żabich godów – pokryły się grązelami, liliami wodnymi i kobiercem salwii pływającej. Altany i dom udrapowano pnączami. Przy ścianach ustawiono wyrzeźbione przez naturę pniaki-dziwaki, przed wejściem – granitowe donice z kwiatami. Nasadzono iglaki. Już na pierwszy rzut oka widać, że leśniczówkę zasiedlił artysta. Potwierdza to wnętrze domu. Przez lata zgromadzono tu wiele ładnych i wartościowych przedmiotów: obrazów, rzeźb, trofeów, książek. Wbrew pozorom, nie służą one li tylko wypełnianiu przestrzeni czy przydawaniu jej elegancji. Ich rola nie sprowadza się też do budzenia zachwyty czy wabienia estetyką. Wszystkie przedmioty mają swój czas, miejsce, historię. Ożywają w opowieściach gospodarza dzieła własne i sygnowane inicjałami przyjaciół artystów: Mirosława Szunia, Olgerda Tomaszewskiego, Mariusza Kędzierskiego, Zbigniewa Korzeniowskiego, Andrzeja Parysa, Zbigniewa Szczepanka. Swoją historię mają również rzeźby amatorów, Jaksy i Tadeusza Cybulskiego, które pan Jarosław zakupił, by wesprzeć samorodne talenty, książki, które traktuje z nabożnym szacunkiem, i trofea zdobyte na polowaniach. Przyglądając się przedmiotom wypełniającym dom, łatwo rozszyfrować kilka wątków zainteresowań wypełniających życie gospodarza. Wątek leśny, malarski, literacki i łowiecki.

Wątek leśny, ten jest najważniejszy. Najprościej jest odziedziczyć zawód leśnika po najbliższych, kontynuować to, co zapoczątkowali przodkowie. Pan Jarosław to pierwszy leśnik w rodzinie. Przypadkowy wybór? Dzieciństwo spędził w bliskości natury. Nieopodal domu był las przyrodniczo bardzo bogaty – Bory Niemodlińskie, były też dwustuletnie stawy hodowlane, obrośnięte pomnikowymi drzewami. Na styku tych środowisk, w miejscu słabo zaludnionym, kwitło leśne życie. W biały dzień na groblach



spotkać można było dzięki żerujące pod obficie owocującymi dębami i usłyszeć, nawet w ciągu dnia, jelenia, podejrzeć sarny. I obserwować ptaki, które chłopca już w dzieciństwie zafascynowały. To wszystko działało na wyobraźnię.

Naturalną drogą do rozwijania i poszerzenia zainteresowań przyrodą było zamiłowanie do książek, które małemu Jarkowi wpoiliła mama. Był jej wdzięcznym towarzyszem, gdy wędrowała do miejskiej biblioteki i tam spędzała wiele czasu. Matka penetrowała księgozbiory, przeglądała czasopisma, na które nie było ją stać, i wypożyczała książki, dużo książek. On odkrywał wydawnictwa przyrodnicze, które inspirowały jego wyobraźnię; zaczął po nie zachłannie sięgać. Kiedy poszedł do szkoły, bibliotekarka z satysfakcją odnotowywała godziny spędzane przez Jarka nad lekturą. To wszystko sprawiło, że naturalne stały się pierwsze lokaty w szkolnych konkursach wiedzy przyrodniczej i w konkursach plastycznych związanych z fauną i florą.

– Miałem też szczęście – wspomina pan Jarosław – dzielić zainteresowania z przyjacielem, Zbyszkim Korzeniowskim. Obaj na ochotnika zgłaszaliśmy się, kiedy trzeba było poszukać zwierzaka do szkolnego terrarium czy zdobyć roślinki wodne lub żwir do akwarium. Naturalnym polem naszego działania była szkoła i najbliższe otoczenie. Ale później, w miarę dorastania, wspólnie zaczęliśmy penetrować las, zapuszczając się coraz dalej i głębiej. Rozsmakowanie w przyrodzie zaowocowało wyborem nauki w technikum leśnym. Ale do Tułowic dostałem się tylko ja, i to dzięki protekcji dyrektora podstawówki (aż dziewięć osób ubiegało się o jedno miejsce). Przekonał szacowne gremium, że Jarosław Janicki to chłopak z pasją przyrodniczą, że wybrał Tułowice nieprzypadkowo, ale z wewnętrznego przekonania. Jednym słowem, zarekomendował mnie jako wielkiego entuzjastę przyrody i plastyki. I tak moje drogi ze Zbyszkim się rozeszły. On później, po skończeniu Technikum Mechanicznego, już jako nauczyciel zawodu, rozpoczął zaoczne studia w Cieszynie, w filii katowickiej Akademii Sztuk Pięknych, ja wybrałem studia leśne w Poznaniu. Ale przyjaźń przetrwała. Właśnie mija 48 lat...

Pracę leśnika pan Jarosław podjął natychmiast po ukończeniu technikum. Jako osiemnastolatek. Dla samych doznań zawód wysoko notowany. Ale płace do 1989 r. były tak marne, że przyszła żona Jarka, która pracuje w szkolnictwie, zarabiała od niego więcej, choć nauczycielskie pensje też nie były (i nie są) wysokie. Dopiero po transformacji ustrojowej zarobki obojga się wyrównały, później w lasach zaczęły rosnąć. Wówczas jednak, gdy założyli rodzinę i na świat przyszła trójka dzieci, bez dodatkowego zarobku nie dałoby się domu utrzymać.

Marnie było z finansami, bardzo marnie. Ciągotek do pracy na roli pan Jarosław nie miał, nie miał też żyłki do interesów. Trzeba się było jednak przełamać, bo pieniędzy nie starczało na potrzeby rodziny. Zaczął dorabiać popołudniami w spółce wodnej, najmował się do czyszczenia rowów. Ojciec, księgowy w gospodarstwach rolnych (znał się na rolnictwie, bo pochodził z Kresów i wychował się z rodzeństwem na roli), który zawód leśnika postrzegał mało przychylnie, namawiał do pracy poza lasem, wyszukiwał konkretne „fuchy”. Jedną z nich był letni wychów bydła. Na początku szło znakomicie. Nie było możliwości, żeby gromadzić paszę, hodować duże zwierzęta, więc pan Jarosław brał wiosną po 15, 20 cielaków na letni wychów, a odstawił jesienią.

– Okazało się, że jak cielaki na te moje pastwiska przyszły, to miały takie przyrosty, że specjaliści podejrzewali mnie o dodawanie czegoś do paszy – mówi pan Jarosław. – A ja im tylko trawkę, słonko i wodę do woli serwowałem. Nic więcej. Późną jesienią, jak przyrost traw się kończył, to cielaki się odstawiało. Po pierwszym roku okazało się, że za odstawione zwierzęta otrzymałem zapłatę równą... dwurocznej pensji leśnika.

Uzyskaną ze sprzedaży cielaków gotówkę państwo Janiccy zainwestowali w wyposażenie domu, kupili samochód – kilkunaścieletniego garbusa. Opłacalność tego interesu z roku na rok jednak malała.

– Widząc to, ojciec wynalazł mi pracę w rolniczej spółdzielni produkcyjnej, gdzie jako brygadzysta polowy miałem dostać pensję dwa i pół razy większą niż w lesie. Dodatkowym wabikiem była służbowa „emzetka”. Oj, było to kuszące! A jednak, mimo pokus, pozostałem zawodowi leśnika wierny. I dziś już nie wyobrażam sobie, że mógłbym robić cokolwiek innego. Jeśli obowiązki wyrywają mnie z mojego siedliska do Opolą, to po kilku godzinach tam spędzonych wracam chory – od hałasu, nieustannego ruchu, pośpiechu, spalin. Pokochałem swój leśny los. Na całe życie. Notabene, bakcyła leśnego złapał młodszy z synów, Adam. Pracuje jako podleśniczy w Nadleśnictwie Kluczbork i zaocznie studiuje leśnictwo w Krakowie. Starszy – Paweł – to myśliwy od 1998 roku.

Janiccy „wrastają” w las.

Obowiązki stricte zawodowe pan Jarosław godzi z „okołoleśnymi”. Śmieje się, że jego czwarte dziecko ma na imię Izba Leśna. Sporo czasu jej poświęca, choćby na aranżacje kolejnych pomieszczeń czy opracowywanie autorskich tablic poglądowych. Jeśli czas pozwala, oprowadza też grupy zwiedzających. Z wielką satysfakcją spotyka się z przedszkolakami i uczniami szkół podstawowych. Te dzieciaki to najwdzięczniejsi odbiorcy wiedzy o lesie i ochronie przyrody. Pana Jarosława nie bawią ekologiczne akcje.

Uważa, że w ten sposób marnuje się dobre emocje wielu ludzi, a w efekcie usuwa skutki, nie przyczyny. Preferuje pracę u podstaw, wczesne kształtowanie właściwych nawyków. Powtarza, że czym skorupka za młodu nasiąknie... W tym przekonaniu utwierdziły go doświadczenia własnego losu. Miał szczęście do dobrych nauczycieli i to nie tylko z zakresu leśnictwa. Wspomina polonistów ze szkoły podstawowej i średniej, którzy widząc jego zainteresowanie literaturą, skutecznie je rozwijali, zachęcając do czytania bardziej ambitnych, nieobowiązkowych lektur. Artystyczne zainteresowania wspierali nauczyciele rysunku. Niezjący już leśnik Jan Pętlak, jego pierwszy przełożony, wprowadził go w arkany sztuk leśnych, podsycił ambicje. To ambicja sprawiła, że pan Jarosław rozpoczął naukę na Wydziale Leśnym poznańskiej uczelni, którą zakończył w 1983 r. Studia wśród leśniczych nie były wówczas tak powszechne jak teraz. Nie chodziło o konkurencję czy możliwość awansu. Studiowało się dla własnej przyjemności i satysfakcji. Dzięki Janowi Pętlakowi pan Jarosław zdobył również ciekawą, praktyczną umiejętność.

– Mój przełożony kazał mi liczyć słupki w pamięci. Kładł przede mną archiwalne listy płac, odcinał sumę, a rano sprawdzał, ile mi wyszło. Raz się udało, raz nie. Często powtarzał mi: na co ci te całki i pierwiastki? Liczyć się naucz! To podstawa! A należy pamiętać, że całą dokumentację w leśnictwie: bruliony odbiorcze, kwity zrywkowe i wywozowe, wykazy odbiorcze, szczegółowe listy płac – wszystko to robiono ręcznie. Dziś komputer za naciśnięciem klawisza drukuje wszelkie możliwe zestawienia, analizy, sam kubikuje, sumuje itd. Ale dzięki ćwiczeniom doszedłem do takiej wprawy, że dziś, kiedy mój podleśniczy zlicza cyferki na kalkulatorze, siedząc po przeciwnej stronie, ja na piechotę, patrząc na kolumnę do góry nogami, podaję rezultat przed nim. Szybciej robi to komputer, ale umiejętność i tak się przydaje w życiu. Na przykład w sklepie, gdy staję przy kasie z wieloma produktami w koszyku, wiem, ile mam zapłacić. Stawiania pierwszych kroków w zawodzie uczył Jan Pętlak, ale duchowym przewodnikiem przez całe zawodowe życie był dla mnie niezwykle szanowany inż. Marian „Ojciec” Orzech – wychowawca i mentor wielu leśników. Choć od 10 lat jest na emeryturze, po dziś dzień utrzymuje żywy kontakt ze swymi wychowankami. A nadleśniczowie Ryszard Kowalski i Witold Szozda sprawili, że moje rysowanie do szuflady otrzymało wymiar praktyczny. Z kolei Janusz Krosny – polonista, germanista i myśliwy, redaktor wszystkich moich tekstów, z którym rozumiemy się bez słów (przyjaźń trwa od 30 lat), utwierdzał mnie w przekonaniu, że moje piarstwo ma sens i wartość.

Rysował od dziecka. To było najmilsze spędzanie czasu. Pamięta, jak zimą, po zajęciach w podstawówce, zasiadali ze Zbyszkiem Korzeniowskim przy stole, najczęściej w jego domu, bo tam po drodze ze szkoły im było. Mama kolegi szykowała pajdy



chleba ze smalcem i coś gorącego do picia, oni uprząkali stół, rozkładali kartki, kredki i rysowali. Ptaki. To one opanowały dziecięcą wyobraźnię. Obserwowali je, ich lot, podziwiali śpiew i piękne sylwetki. A potem zapamiętany obraz przenosili na papier. Kiedy pan Jarosław zaczął stawiać pierwsze kroki jako leśnik, jego hobby to było słuchanie radia i rysowanie – przedsmak niezależności. Potrafił się wówczas na dwa dni zamknąć z jakimś przyrodniczym tematem i wałkować go na kilkanaście sposobów, poczynawszy od tych najprostszych, ołówkowych, na olejnych kończąc. Po paru dniach rozkładał prace, stwierdzał, że są niewiele warte i podpałał. To był czas intensywnych, twórczych poszukiwań i bardzo krytycznej oceny dokonań. Zarzucił hobby, kiedy skurczył się czas wolny, zaczęło życie rodzinne, podnoszenie zawodowych kwalifikacji.

– Moje rysowanie, takie dojrzałe, zaczęło się w początkach lat dziewięćdziesiątych – mówi. – Traktuję je jako rodzaj autoterapii. Największą przyjemnością jest samo rysowanie, a nie oglądanie skończonej pracy. A przy okazji, jak się komuś spodoba, jak małżonko moje fantasmagorie, to miłe. Pokazywanie, publikowanie – to są zyski uboczne. Skąd się wziął u mnie rysunek piórkami? Może ze zmęczenia materiału. Pierwsze były obrazy kredkowe – kredka to moja ulubiona technika. Rysowałem głównie ptaki oraz inne zwierzęta, ale również kompozycje zwane fantasmagoriami. Wiele z nich miało format nawet 70x100 cm. Kolory nakładałem wielowarstwowo, laserunkowo. Technika była bardzo czasochłonna, ale efekty zadowalały, tyle że w ciągu zimy byłem w stanie narysować ledwie kilka wielkoformatowych obrazów. I nagle było po zimie. Rysunek tuszem po raz pierwszy zrobiłem w 2002 r. Eureka! Oczy mi się rozszerzyły, kiedy okazało się, że kompozycję można zrobić w kilka godzin. I że rysunek równie dobrze przemawia, jak dokładnie wydziergany, zakresowany obraz. Zapewne chęć zmiany techniki wzięła się także z przesytu kolorem, który bryluje obecnie w Internecie, w telewizji, w książkach. Wraca sentyment do czerni i bieli i, o dziwo, trafia do odbiorcy.

Innym powodem, który zdecydował o sięgnięciu przez artystę po piórko i tusz, była chęć zrobienia rysunków do książki. Rodzina ganiła: „Umiesz rysować, a twoje opowiadania ilustruje kolega”. Na takie dictum nie znajdował słów na obronę. Niedostępnym mistrzem rysunku kreskowego dla pana Jarosława jest bez wątpienia Władysław Siwek. Inni ulubieni rysownicy to Samuel Miklaszewski, Stanisław Rozwadowski, Karl Wagner, Manfred Kiefer, Willi Schütz. A także Bronisław Linke, Frantisek Liebl i wczesny Zdzisław Beksiński. Kiedyś natrafił na albumy wydane przez artystę amatora Zbigniewa Szczepanka (z wykształcenia doktora nauk nawigacyjnych), ozdobione przepiękną akwarelą. Jarosław zachwycił się ilustracjami i, wysyłając artyście kilka swoich pocztówek z rysunkami, spróbował nawiązać kontakt. To zaowocowało zaproszeniem i obietnicą dania paru lekcji o skrótach rysunkowych.

Zapalił się do tego, bo uważa, że zawsze lepiej z kimś doświadczonym przerabiać temat – robi się to płynniej i szybciej. Niestety, zabrakło czasu na takie spotkania.

Jako niespokojny duch, pan Jarosław nieustannie poszukuje inspiracji. Tęskni, na przykład, za tym, żeby spróbować pastelu. Używając tej techniki, chciałby pokazać rozświetlony las w jego tajemniczym nastroju. Pastel, zdaniem artysty, narzuciłby malarskość, której brak odczuwa w swoich pracach, odciągnął od szczegółu, od dziergania. Przyjaciele namawiają, by ubiegał się o uprawnienia artysty plastyka. On nie dba o etykiety. Ambicje zaspokaja świadomość, że rysunki podobają się rodzinie, że może nimi obdarować najbliższych. Choć, przyznaje, żal się z nimi rozstawać. Cieszy go, że spore wycucie plastyczne przejęło najstarsze z dzieci – Daria.

Artysta – rysownik, malarz – jest dostrzegany. I nagradzany. We wrześniu 2006 r. Sąd Konkursowy VII Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Amatorskiej Leśników OPTAL 2006 w Gołuchowie przyznał Jarosławowi Janickiemu nagrodę specjalną dyrektora Ośrodka Kultury Leśnej za tryptyk: „Bekasy”, „Słonki”, „Jemiołuszki” (to trzecie wywiezione z OPTAL-u wyróżnienie). W listopadzie 2006 r. artysta odebrał Nagrodę Marszałka Województwa Opolskiego dla Animatorów i Twórców Kultury Śląska Opolskiego za „osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury”.

Pan Jarosław jest także myśliwym. Poluje od 1982 r., a jego „profesorem” w tej dziedzinie był kolega, Henryk Michałowski.

– Zainteresowanie myślistwem rozwinęło się we mnie do tego stopnia, że brałem urlop tylko po to, żeby prywatnie pojechać do Czempinia i wziąć udział w sympozjum naukowym na temat zwierzyny drobnej lub na tydzień do Akademii Rolniczej w Olsztynie, by poszerzyć wiedzę na temat szacowania szkód czy też introdukcji jakiegoś ciekawego gatunku. Według mnie łowiectwo wiąże się z głębokim i szerokim rozumieniem praw przyrody. Wielu leśników ze względu na wykonywany zawód poluje; wydaje mi się, że są najbardziej doświadczonymi myśliwymi.

Polowania, z wyjątkiem zbiorowych, to dla Jarosława bardzo ekscytujące zajęcie, bez względu na to, czy poluje na słonkę, czy obrosłego w legendę zwierza: rogacza, jelenia byka, odyńca. Przechytrzenie zwierza, w dodatku takiego wyjątkowego, to wielki sukces. Dodatkowy atut – uznanie w oczach kolegów. Pan Jarosław to samotnik, nie szuka towarzystwa. Jego konstrukcja psychiczna nastawiona jest na najbliższych i na siebie. To mu wystarcza. Impreza integracyjna czy polowanie zbiorowe nie są dla niego. Niegdyś wiele czasu przesiadywał nad rzeką, osiągając w dziedzinie wędkowania niezłe efekty. Ale jak siatka była już pełna ryb,

to je wypuszczał. Dziwili się wędkarze z przeciwnego brzegu i pukali w czoło. A jemu wystarczyły emocje: oczekiwanie z przynętą, drgnięcie żyłki, szarpanie za koniec wędki, holowanie dorodnej ryby. Twierdzi, że obcowanie z przyrodą poprzez łowiectwo to niezwykle emocje. Jeśli ktoś potrafi patrzeć i odkrywać, a później jeszcze spróbuje to opisać, to nagle okazuje się, że przyroda jest niewyczerpanym źródłem tematów.

Pierwsze opowiadanie, które pan Jarosław przelał na papier, dotyczyło wspólnych pięciu lat łowów z jamnikiem szorstko-łosym, Borysem, który w 1995 r. zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Więź z czworonogiem była tak silna, iż postanowił uwiecznić wspólnie przeżyte z nim przygody. Szło opornie. Ale rodzina dopingowała, zachęcała do sięgnięcia po następne tematy. I chwala jej za to, bo przelanie łowieckich emocji na papier, po pierwszych mniej udanych próbach z Borysem, było już znacznie łatwiejsze. Rodzinie opowiadania zaczęły się podobać. Wyczytał, że „Łowiec Polski” organizuje konkursy literackie. Za namową swojej siostry Małgosi wybrał cztery najlepsze prace i wysłał do redakcji. W latach 1999–2001 stał się trzykrotnym zwycięzcą takich konkursów. Współpraca z czasopismami zaowocowała propozycją wydania książki. W posłowie do „Kaczego piórka” (nawiasem mówiąc, zilustrował ją nie sam artysta, ale jego przyjaciel, Zbigniew Korzeniowski) czytamy takie opinie: „książka zawiera soczysty opis przeżyć łowieckich i głębię odczuć myśliwego-leśnika”, „jego pisarstwo promieniuje kulturą, poczuciem etyki ludzkiej i łowieckiej, romantyzmem”, „zawarte w zbiorze opowiadania niosą ze sobą dyskretne przesłanie dydaktyczne, a przez to wydają się godne polecenia również czytelnikowi nie znającemu tematyki łowieckiej”.

Decyzja o wydaniu innej pozycji dojrzewała kilka lat. Inspiracją były prace przy tworzeniu Izby Leśnej. Ktoś przyniósł liczącą ponad 70 lat fotografię, ktoś inny teksty opisujące łowy w okolicznych lasach. Wyszperano stare mapy, dokumenty, broszury, dawne instrukcje. Niektórzy przekazywali pamiątki rodzinne, często o historii tak długiej, jak historia samych Lasów Państwowych. Dojrzała myśl, by wszystkie te materiały zebrać w jedno wydawnictwo. Rok 2004 – rok jubileuszowy dla Lasów Państwowych – zainspirował Nadleśnictwo Kup do edycji pakietu wydawniczego, który miał je promować, a jednocześnie służyć edukacji przyrodniczo-leśnej. Wydano wówczas komplet pocztówek i folder z rysunkami Jarosława Janickiego oraz rzetelną, popularnonaukową monografię: „Nadleśnictwo Kup – lasy, ludzie, zdarzenia, legendy...”, również jego autorstwa. I tym razem ilustracje do książki wykonał ktoś inny (Wojtek Wasita, kolega pana Jarosława ze szkoły w Tułowicach). Harmonijne uzupełnienie prozy autora jego własną ilustracją nastąpiło dopiero w 2007 r. W komplecie – słowo i rysunek – otrzymała, opublikowana przez opolskie Wydawnictwo



Świętego Krzyża, książka „Za tropem”, w której autor wrócił do bogatego świata swoich myśliwskich przeżyć i doświadczeń (ciekawostką jest fakt, że 60 lat wcześniej, w 1947 r., w tymże wydawnictwie ukazał się zbiór opowiadań myśliwskich „W polskich kniejach” autorstwa prof. Rudolfa Wacha, nestora polskiego sportu). Ta książka może zainteresować nie tylko myśliwych, ale wszystkich, dla których przyroda jest skarbem. Bo kiedy się ją czyta, wszystkie zmysły czują, że napisał ją ktoś, kto kocha las, jego otoczenie, ludzi. Są w niej wszechobecne odgłosy lasu – łopot skrzydeł, krakanie, bzyczenie, chrapanie, kumkanie... Odurzają snujące się po lesie wonie kwiatów, drzew, igliwia, parującej butwy. W niebanalny sposób opisane jest łowieckie podniecenie, napięcie, a potem radość z udanych łowów. I jest humor. Znakomite zestawienie talentów pana Jarosława.

Nie jest to ostatnie Jarosława Janickiego słowo na niwie literackiej. Marzy mu się książka o pracy leśników, obejmująca lata 70. i 80. zeszłego wieku, coś na wzór „Bazy ludzi umarłych”. I książka dla najmłodszych o leśnych zwierzętach, zainspirowana przez pytania (skrzętnie je notował), które kiedyś zadawały mu jego własne dzieci. Byłaby ona próbą odpowiedzi na dziecięce wątpliwości, a przy okazji pokazywałaby na ilustracjach mieszkańców naszych lasów. Pomysłów wiele. Zapewne więcej niż na jedno życie...



4. Otwieranie drewna

Sławomir Smyk w latach chłopięcych nie dłużał łódek ani leśnych ludzików, nie przypomina też sobie, by napotkane w tamtych czasach drzewo o ciekawym kształcie czy jakiś dziwny leśny był impulsem do artystycznego tworzenia. Oczywiście, w każdym człowieku obcowanie z przyrodą wyzwała estetyczne myślenie i emocje, tak więc i jemu nie były one obce. Sęk w tym, że w tym okresie nie inspirowały go twórczo. Iskra talentu drzemiąca w chłopcu, przyduszona innymi wówczas zainteresowaniami Sławka, wyczekiwała stosownej chwili, by się na dobre rozjarzyć.

Urodził się w małej wsi podlaskiej o nazwie Dobrawoda, przytulonej do Puszczy Białowieskiej. Kiedyś była to miejscowość prężna, robotniczo-chłopska, większość mężczyzn pracowała na kolei. W pobliskich wodach łapało się szczupaki na ości, łowiło raki. Mieszkańcy tutejszych wiosek mieli swoje przydomki. W Sławkowej mieszkali Wróble, bardzo gadatliwe „ptaszki”. Ale młode Wróble rozproszyły się po świecie; pozostali ludzie starzy i dziś wieś cichnie, liczy około 100 mieszkańców. Na skutek melioracji teren został osuszony i ryby diabli wzięli. Ziemię za małe pieniądze wykupili warszawiacy i niby-piękne domy budują, nawet niektórzy nawiązują do tutejszego stylu, ale ten prosty, czysty klimat podlaski powoli się zatracą.

Ojciec pana Sławomira, jak inni, łączył pracę na roli z pracą na kolei, matka pomagała mu w gospodarstwie. Nie było, co prawda, w tej rodzinie leśnych korzeni, ale Dobrawoda rozsiadła się na obrzeżu Puszczy Białowieskiej i las pod dom Smyków podchodził. Pan Sławek od zarania dzieciństwa był więc praktycznie z lasem związany i wybór zawodu po podstawówce nie był przypadkowy. Czuł ducha lasu, choć, jak powiada, to uczucie nie było jeszcze dokładnie sprecyzowane. Dojrzało w Technikum Leśnym w Białowieży, po ukończeniu którego aż rwał się do pracy, odrzucając namowy bliskich do podjęcia studiów. Choć pobrzmiwa to bałamutnie, studia odrzucił za sprawą nauczycieli, o których mówi, że byli wspaniali.

– Oni nam, młodym, przekazali swoją miłość do zawodu. Zdzisław Nowak, typowy leśnik, o pięknej duszy, emanował pogodą, dobrocią i humorem. Takiego człowieka w swoim życiu już nigdy nie spotkałem. Simona Kossak, wspaniała kobieta, zauroczona przyrodą, uczyła patrzeć, czuć, rozumieć i chronić otaczający nas świat roślin i zwierząt, malowała słowem jego barwy. W sposób wyważony dyscyplinował nas dyrektor Mokrzycki. Wszyscy pedagogzy białowieskiego technikum, prawdziwi profesjonaliści,



1



3

bardzo dobrze wpoili zasady pracy w lesie. Ale ci, których wymieniałem, nauczyli czegoś więcej. Wszczepili młodym adeptom leśnictwa przekonanie, że praca w lesie nie jest wyłącznie techniczna, że trzeba ją pokochać, a do lasu wchodzić nie tylko odpowiedzialnie, ale i z uczuciem.

Nadleśnictwo Bielsk Podlaski to całe dorosłe życie Sławomira Smyka. Tu rozpoczął leśną praktykę. Tu zdobywał zawodowe szlify. Choć w świat ciągnęło, nie odleciał, jak inne „wróble”, daleko od Dobrejwody. Cztery kilometry od rodzinnej wioski, w Kleszczelach, ożenił się, gdy matka kazała mu się ustatkować. Zamieszkali z żoną w starym domku z małym oczkiem wodnym. Kiedy na świat przyszły dzieci – Magda i Michał – domek zrobił się ciasny i trzeba było pomyśleć o wybudowaniu nowego, większego i naprawdę swojego. Ale pan Sławek wówczas spadał na dno, „z dnia na dzień był coraz bliżej leśnej ściółki i coraz mocniej niż zapach bimbrowy czuł zapach próchniejącego drewna i gnijących liści”. Pił prawie 10 lat i kto wie, czy opamiętanie by przyszło, gdyby nie żona, która jak mocarny dąb przy nim trwała, gdyby nie przełożeni, którzy wierzyli, że lada moment się ocknie, i wizyty w klubach AA. I ta iskra talentu, która w stosownym momencie wybuchła, czyniąc rzeźbienie tak fascynującym zajęciem, iż uporał się z problemem alkoholowym bez terapii i środków farmakologicznych. Dziś mówi o sobie:

– Jestem alkoholikiem, ale alkoholikiem trzeźwym. Bogu dziękuję, że pozwolił mi wyjść z tego dna. Tamto życie jest dla mnie przestrogą. Pamiętając o nim, koryguję własne błędy. W stanie nałogu byłem jakby zawieszony, nieświadomy swojego jestestwa. Teraz jestem wolny, czuję swoją wartość. W dwójnasób to doceniam, bo przecież udało mi się pokonać coś, co dla wielu ludzi jest nie do pokonania. Dostałem nowe, drugie życie. I odzyskałem wiarę w Boga, która odradzała się wraz z trzeźwieniem, opamiętaniem. Świat jest o wiele piękniejszy, kiedy patrzy się na niego trzeźwymi oczami. Nie żałuję jednak gorzkiej lekcji od życia. Cóż ono warte, gdy płynie prościutko? Życie ma cenę, kiedy człowiek walczy, skręca się z bólu, spada coraz niżej, a potem otrząsa się, mozolnie podnosi. Jaka jest radość, wręcz euforia, gdy w końcu stanie twardo na nogach. Czegoś jednak mi żal. Żal tamtych wiosen bezpowrotnie straconych. Zawsze miałem tendencję wpadania „w cug” na wiosnę. Przyroda buchała życiem, mnie szumiało w głowie. Teraz niecierpliwie i z utęsknieniem czekam jej nadejścia. Nieopodal mojego domu jest droga brzozowa. Brzoza przedstawia w ciągu roku życie człowieka. Wiosną – narodzenie; świeże brzozowe listeczki, delikatnie zielone, rozświetla słońce. Latem – dojrzewanie; liście ciemnieją, intensywnieje zieleń, drzewo jest w pełnej krasie. Jesienią – schyłek życia; liście żółkną, brązowieją, spadają, drzewo robi się nagie. Ale w tej nagości nie ma nic pesymistycznego – nie ma śmierci. Wiemy, że brzoza znów za rok się odrodzi. Zimą zresztą, oszroniona, roziskrzona promieniami, także przepięknie wygląda.

- 1 „Tańcząca z obręczą” (M.D.)
- 2 „Błogosławieństwo” (M.D.)
- 3 Brązowy Wawrzyn Olimpijski
przyznany przez PKOl S. Smyczkowi
za rzeźbę „Tańcząca z obręczą” (M.D.)

Drugie życie rozpoczął w wieku 35 lat. Początkowo było ciężko, bo nie bardzo wiedział, co zrobić z nagle ofiarowanym mu przez abstynencję czasem. Cały jego świat dotąd, jak mówi, kręcił się wokół picia. Trzeba było czymś pustkę wypełnić. Właśnie kończyła się budowa nowego domu w Kleszczelach, którą w większości finansowali rodzice, i przyszedł czas na jego „obsiadanie”. Wpadł wówczas w wir szalonej pracy. Zaczęło go cieszyć wykańczanie własnego siedliska. Sam zrobił podłogi, boazerie, meble do domu i ogrodowe. I nagle poczuł drewno, jego szorstkość, gładkość, zaczął podziwiać układ słoii. Wrażliwość na piękno, która w nim drzemała przytłumiona alkoholem, wypłynęła teraz z całą siłą na wierzch, wręcz wybuchła. Zapragnął ozdobić dom, wypełnić go czymś pięknym. Michał Markiewicz, kolega z Dobrejwody, od lat parał się rzeźbiarstwem. Na kupno jego prac nie stało grosza, bo budowa domu wysysała fundusze, a wstydził się prosić, by mu jakąś podarował.

– Zauważył moje pożądanie w oczach – wspomina pan Sławomir – ale rzeźby nie dał. Podarował mi natomiast kawałki drewna i powiedział: „Zrób to sam”.

Pierwszą rzeźbę dłubał pół roku – nie spodobała mu się, trafiła do pieca.

– Z natury jestem niecierpliwy – mówi – wolne dłubanie mnie męczy. Wszystko zaczęło iść w dobrym kierunku dopiero wtedy, kiedy odkryłem szybkie piły. Motorowe. Świetnie się pracuje tym narzędziem, jest skuteczne, błyskawicznie uwidacznia zamierzony efekt. Zapamiętałem się wówczas w tworzeniu. Piła motorowa pracowała pełną parą, ja byłem w transie. Nie docierało do mnie, że czas płynie, że piła nocą budzi domowników, że żona o trzeciej nad ranem przywołuje do porządku, bo rano na leśnika las czeka. Czas nie grał roli, świat przestawał istnieć. Pracownia stała się moim klubem AA. Rzeźba przebiła wszystko. Narodziła się pasja.

Jest tak, że stawia jakiś kawał drewna, kloc. Dwie kawy wypije, pół paczki papierosów wypali, tu dotknie piłą, tam dotknie. W pewnym momencie piła pociągnie mocniej jego rękę i, jak to dzisiaj młodzi mówią, zaiskrzy. Coś się zaczyna.

– To jest niezwykle, fascynujące, taka rozmowa z drewnem – mówi artysta. – Dusza drewna szepce do mnie: tu przyłóż piłę, tu dotknij dłutem, a tu – podpowiada – wygładź.

Czasem bierze do obróbki potężny pień, wydaje się, że rzeźba też będzie potężna, ale dusza przycupnęła w maciuperkim kawałeczku i rzeźba jest maleńka. Zaczął pojmować credo Michała Anioła, że rzeźbienie jest zdejmowaniem zbędnych, niepotrzebnych warstw materiału i wydobywaniem z niego tylko tego, co najpiękniejsze. Piła motorowa, dłuta, szlifierki, papier ścierny do

szlifowania to podstawowe narzędzia pracy artysty. A na końcu jest wosk pszczeli o różnym kolorycie, oleje i pasty. Nimi pokrywa gotowe rzeźby. Nie stosuje lakieru, bo uważa, że lakierowanie drewna to profanacja tworzywa. Jest sztuczny i odbija światło.

O drzewach i drewnie artysta opowiada tak pięknie i z uczuciem, że trzeba być zupełnie niewrażliwym, by tej fascynacji nie ulec.

– Szkło, kamień, żelazo to materiały zimne, trochę obce człowiekowi – mówi artysta. – Drewno jest magiczne. Kontakt z nim jest czymś niezwykłym, wręcz świętym. Drzewo ma duszę, wierzę, że ta dusza pozostaje też w drewnie. Drewno pachnie różnymi zapachami. Jabłonie pachną winem. Dąb kwasem. Brzoza świeżością. Tylko osika śmierdzi.

– A lipa?

– Lipa to jest lipa, bezwolna, uległa i beznamiętna. Najwspanialszy jest dąb – wyjaśnia – ale nie ten, który rośnie w lesie, taki uszeregowany, równy. Polny, samotnik – to jest dąb. Potężny mocarz, który wszystkie wichury i nawałnice przetrzyma. Kiedy wchodzę w niego piłą, otwieram go, jest jak książka. Patrzę, w środku jest czarny. I już moja wyobraźnia zaczyna pracować. A może pod dębem jakiś powstaniec stał, kula go trafiła i utkwiała w pniu drzewa (jak metal dostanie się do wnętrza dębu, to wówczas kwasy wchodzą w reakcję z metalem i tkanka czernieje). W innym miejscu drewno jest wypalone – już widzę pożar, buchające płomienie, czuję zapach spalenizny. Penetrując wnętrze drewna, można odtworzyć historię minionych lat, spisać kronikę wydarzeń. Dąb jest wyrazisty, wyraziste i piękne ma słoje. Układem słoji, jeśli się rzeźbi kobietę, można wyeksponować wszystkie jej wklęsłości i wypukłości. Lubię też jabłonie. Tyle jest gatunków drzew, a każde ma inny kolor. Piękne są też drzewa w środku wygniłe, poczerniałe. Na przykład tę jabłoń, którą zamieniłem w rzeźbę, pamiętam od dziecka. Już wówczas była stareńka. Siadaliśmy pod nią w gronie kolegów, snuły się opowieści, jakieś piwo się wypijało, dziewczyny tuliło. Przed nami zasiadali pod nią inni młodzi ludzie. Gdybyż tak zechciała opowiedzieć o zdarzeniach, których była niemym obserwatorem. Kiedy ją otworzyłem, okazało się, że w środku jest pusta, przegniła. Żal mi się jej zrobiło. I w tym żalu tworząc, wspominałem pierwsze młodzińcze porywy, dawne życie. Czulem, jak rzeźba nasycy się moimi wspomnieniami i że oddają temu kawałkowi drewna cząstkę siebie.

Rzeźby pana Sławomira są gładkie, połyskliwe, wręcz aksamitne. Zazwyczaj twórcy chcą się wybić, bulwersując swoimi pracami odbiorcę, chcą nimi szokować. On pragnie, by jego rzeźby były przyjazne, ciepłe. Człowiek patrzący na dzieło sztuki powinien, poza wrażeniami i emocjami czysto estetycznymi, doznawać wytchnienia. On chce, by jego rzeźby były dotykane. „Dzieło sztuki jest gładkie, przyjemnie pachnie i zapach ten zostawia na palcach. Kiedy wodzi się po nim dłońmi, można pojąć jego symbolikę



i ukryte w nim znaczenie” – tak komentowały niewidome dzieci swój kontakt z rzeźbami Smyka, dziękując mu, że pozwolił im na „ręczne oglądanie”. Brał kiedyś udział w wystawie w Holandii, opodal Utrechtu. Sale wystawowe galerii, mieszczącej się w ogromnym podziemnym forcie, który Holendrzy wybudowali przed I wojną światową, ogrzewane są tam tzw. kozami. Obserwował ludzi, którzy przyszli oglądać jego rzeźby. Niektórzy wyciągali wprost ręce, żeby je pogłaskać. Przyjęte jest na wernisażach, iż nie dotyka się eksponatów. Pan Sławomir postanowił zakaz złamać. Wpadł na pomysł, by na widocznym miejscu umieścić kartkę: „Proszę nie dotykać pieca. Proszę dotykać rzeźby”.

Rzeźba realistyczna nie pociąga Smyka, on woli metaforę, impresję. Taką jest, na przykład, rzeźba „Oczekiwanie” – postać starucha, który „chciałby już na śmierć odejść”, żyłastego i twardego jak drewno gruszy, z którego powstała. Inna, „Ku przestrodze”, przedstawia drapieżną rękę trzymającą pękniętą kulę ziemską – to pazerność w wyciskaniu wszystkich soków z naszej ziemi, poza granice jej wytrzymałości. Dębowa kula we wnętrzu ażurowego jaja to „Narodziny doskonałości”; kula – najdoskonalsza z brył geometrycznych – i jajo – początek wszechświata – tworzą tu kompozycję na miarę dębu, który dla rzeźbiarza był zawsze wyzwaniem. Płynny ruch w statycznej z natury bryle drewna – to również problem, który rzeźbiarza pochłania. Łatwo to dostrzec w rzeźbach „Tańcząca z obręczą” i „Tańcząca ze wstęgą”. Dlaczego są to kobiety?

– Lubię płynność, gładkość – mówi artysta. – W kobiecie to wszystko jest, jest także dużo miękkości i krągłości. Jest ciepło.

Próbował kiedyś naśladować angielskiego artystę, Henry’ego Spencera Moore’a, który rzeźbił w materiale organicznym, tworząc abstrakcje na wypukłościach i wklęsłościach. Wydawało mu się to bardzo inspirujące. Pojechał do masarni, nabrał kości z byka i wyczarował z biodrowej półleżącą kobietę. Kości jednak drewna nie przebiły.

Rzeźby, które nie poszły w świat, i te, które na bieżąco tworzy, wystawiane są w maleńkiej galerii obok domu, w miejscu, gdzie kiedyś zaplanował garaże. Pierwsza prywatna galeria sztuki w puszczy. Bardzo nietypowa. Kiedy jest ciepło i świeci słońce, rzeźby „wychodzą” na podwórko. Drewniane postacie zaczynają oddychać. Można swobodnie przechadzać się wśród eksponatów, jest więcej miejsca, by je dotykać i poznawać. Idea godna naśladowania, zwłaszcza z myślą o tych, którzy w „normalnych” galeriach i muzeach mają problem z poznaniem piękna jakiegoś dzieła, czyli o ludziach niepełnosprawnych. Do galerii nie prowadzą żadne

drogowskazy. Smyk nie chce gości, którzy przychodzą, by zaliczyć kolejną galerię sztuki. Nie chce tłoku. „Jeśli ktoś zechce zobaczyć moje rzeźby, to mnie znajdzie” – mówi. Tylko niektóre opatrzone są tytułem. Ale na wystawach artysta przeważnie tytuły odrzuca. Nie lubi podawać sztuki na tacy. Chce, by oglądanie jego rzeźb było twórcze, by ludzie, widząc dzieło, mogli nadawać mu własne nazwy.

– Pragnę – wyjaśnia – by się nie opatrzyły, by można je było codziennie widzieć i nazywać inaczej, zależnie od intensywności światła, nastroju, humoru, stanu duszy.

Swoje prace wystawiał w Białymstoku, w Gołuchowie, na Targach Poznańskich, w Holandii. W 1998 r. otrzymał wyróżnienie w Regionalnym Przeglądzie Twórczości w Hajnówce, w 2000 r. – pierwszą nagrodę w Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Amatorskiej Leśników w Gołuchowie za rzeźbę „Staruszek”, w 2001 r. za rzeźbę „Tańcząca z obręczą” – Brązowy Wawrzyn Olimpijski, przyznany przez Polski Komitet Olimpijski (wśród jej laureatów są tacy twórcy, jak Jerzy Nowosielski i Krzysztof Penderecki). Rzeźby Sławomira Smyka znajdują się w zbiorach Prymasa Polski, w Muzeum Sportu w Lozannie, w kolekcjach osób prywatnych w kraju i za granicą. Dobrze się sprzedają. Podobają się szczególnie Holendrom, którzy rokrocznie zapraszają go do swojego kraju na wystawy, oraz Niemcom, kojarzącym jego rzeźby z dziełami Ernsta Barlacha (abstrakcyjnego rzeźbiarza, wyklętego przez nazistów), bardzo za Odrą cenionego. Trudno zliczyć i wymienić dzieła, które wyszły spod ręki artysty. Tyle ich porozrzucił po świecie. A on ciągle pazerny – jak sam o sobie mówi – gnał do przodu.

– Dziś – powiada – nie ma już we mnie takiej spontaniczności. Takiej zachłanności tworzenia. Nadal rzeźbię codziennie, ale już nocy nie zarywam, domowników nie budzę. Potrafię sobie zrobić nawet kilkudniową przerwę. Powoli zaczynam myśleć o rzeźbie doskonałej. Nie wiem, kiedy ją stworzę, bo od Magdy, mojej córki, która studiuje architekturę i jest moim „etatowym” krytykiem, nie otrzymałem jeszcze żadnej piątki. Pan Sławomir nie mówi tego ze smutkiem, wytykam mu niekonsekwencję.

– Ma pani rację – przyznaje – niby chcę, a nie chcę. Chyba cieszę się, że ta najlepsza jest jeszcze przede mną. Rzeźbę doskonałą można stworzyć tylko raz. Gdy powstanie, będę musiał odłożyć piłę i dłuta. A ja pragnę ich używać jak najdłużej.

Leśnik, czy rzeźbiarz? To zaczęło się przenikać i chyba nie ma wyraźnej granicy, która by te dwa światy rozdzielała. Pracę twórczą artysta wykonuje zarówno w pracowni, jak i w lesie – i tu, i tam ma kontakt z tym samym tworzywem. Las zapładnia jego wyobraźnię, on do lasu wnosi swoją wiedzę, doświadczenie i wrażliwość.

Pan Sławomir wiele lat pracował w Lasach Państwowych. Teraz nadzoruje około 4,5 tys. hektarów prywatnego drzewostanu. Doradza ludziom, co mają robić na swoich leśnych działkach, by prowadzić tam skuteczną gospodarkę. Usilnie się stara, by trwałość lasu była zachowana. A to wcale nie jest łatwe, bo ludzie nie myślą przyszłościowo. Potrzebują drewna, to wycinają drzewa lepsze; te gorsze zostawiają. Niby zrozumią. Ale nie dla leśnika. On musi doradzić, jak wycinać drzewa bez szkody dla lasu, jak go odnawiać, pielęgnować. Wbrew powszechnemu mniemaniu, jak twierdzi Smyk, praca leśnika to nie jest czysty romantyzm. Nie każde drzewo musi rosnąć. Jedno trzeba usunąć, żeby drugie, dorodne, mogło się rozwijać.

– Niektórzy ludzie lubią pracować w dużych lasach – mówi. – Ja najlepiej czuję się w młodnikach. Tu jest największe pole do tworzenia. Czyszczenie młodników, kształtowanie, to ciekawa i twórcza praca. Z młodą sadzonką postępujemy jak z człowiekiem – pielęgnujemy ją od niemowlęctwa, układamy. Sukcesywnie tworzymy drzewostan. Ekolodzy patrzą na leśnika jak na brutala, który z lasu chce wyciągnąć jak najwięcej pożytku. A przecież leśnik nigdy nie wycina drzewa na zatarzenie. Co najwyżej daje mu drugie życie – w nowo budowanym domu, w meblu, w rzeźbie...

Nadleśnictwo Bielsk Podlaski prowadzi wśród młodzieży „inicjację” leśną. Jest tutaj bardzo piękna izba edukacyjna, udekorowana dużymi, kilkumetrowymi rzeźbami Sławomira Smyka. Dzieci ze szkół zasiadają w izbie, opowiada im się o lesie, kształtuje wrażliwość na przyrodę. Czasami artysta mówi im o swoich rzeźbach, o tworzeniu, o związkach sztuki z lasem, o przekształcaniu drewna. Dzieciaki zaczynają kojarzyć, że między pojęciami: las, drzewo, drewno, rzeźba istnieje spoiwo, któremu na imię piękno.

– Pyta pani, co mnie gna do rzeźbienia? Trudno powiedzieć – odpowiada artysta. – Dlaczego to robię? Po prostu mam takie pragnienie. Bardzo trafnie określił to poeta: „Nie wiem, co to jest poezja, nie wiem, po co i na co, wiem, że czasami ludzie czytają wiersze i płaczą. A potem sami piszą mozolnie i nieudolnie, by od dławiącej ciszy łkające serce uwolnić”.



5. Uzależniona od gliny

– Drewno czy kamień trzeba ujarzmić, wydłubać z nich strukturę lub wyciosać. Glinę się pieści, wygładza. Kiedy jej dotykam, czuję mrowienie. A ona, jakby świadoma tego doznania, staje się posłuszna moim dłoniom. Nie deformuje się, nie pęka, zmienia się w to, czego zapagnę – tak o ukochanym tworzywie mówi Danuta Tomaszewska, rzeźbiarka i malarka (pseudonim twórczy – Saga). I choć w swoim artystycznym życiu próbowała innych środków wypowiedzi, zawsze do gliny wracała. Do tej surowej, niewypalanej, która jest dla niej żywą materią.

Ze sztuką miała kontakt od dzieciństwa. Artystyczne skłonności mieli dziadkowie, górale, z natury swej wrażliwi na piękno. Od najmłodszych lat przejawiała je starsza siostra, uczennica liceum plastycznego, która tworzyła w glinie. Danka była więc z gliną za pan brat od zawsze i u boku siostry próbowała ją formować. Ale nie wiadomo, dlaczego, na przekór zdolnościom, do nauki wybrała technikum mechaniczne. To od początku uwierało i skończyło się fiaskiem. Maturę zdawała w ogólniaku. W poznańskim pałacu kultury istniała wówczas dobra pracownia ceramiki. W wieku 17–18 lat Danka nauczyła się tam podstaw pracy z materiałem, wypalania, szkliwienia. Uczęszczała również na zajęcia z gobelinu, ale to była praca zespołowa, a ona jest indywidualistką. Swoją trzecią wykonaną w pracowni pracą zdobyła drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie. W pracowni ceramiki dostrzeżono talent Danusi i gorąco namawiano na studia w Akademii Sztuk Pięknych. A ona, znowu przekorna, wybrała filozofię. I znów się sparzyła – oblany rosyjski zamknął jej wstęp na wydział. Cóż, błędy to przywilej młodości.

A potem życie Danuty tak się potoczyło, że studia musiała odłożyć na później i związki ze sztuką przerwać. Wyszła za mąż, zaczęły przychodzić na świat dzieci, przybywało obowiązków. Postanowiła z mężem opuścić Poznań, znaleźć pracę, która dużej rodzinie zapewniłaby dach nad głową. Trafili do Nadleśnictwa Pniewy, gdzie Danucie zaoferowano zajęcie zaopatrzeniowca i lokum w pałacu, wówczas własności nadleśnictwa, zaadaptowanym do celów mieszkalnych.

– To były czasy, kiedy trudno było cokolwiek załatwić bez znajomości, wszystko było na kartki lub ograniczane – wspomina artystka. – Ponieważ w Poznaniu miałam swoje „wejścia” (jestem poznanianką z urodzenia), czułam się w tej pracy jak ryba w wodzie.



Miło wspomina tamten czas: rodzinną atmosferę, mieszkanie w pałacu w Niemierzewie, przestronne, wielkopańskie, bo coś niecoś z dawnej świetności pozostało, i wieczorny dreszczyk związany z legendą o błakających się duchach. To wszystko pasowało do jej osobowości. Kraina Stu Jezior wydawała się dla niej rajem. Rozsmakowawszy się w nadnoteckiej przyrodzie, zaczęła zapuszczać tu korzenie.

W 1993 r. tworzyło się Nadleśnictwo Sieraków, trzeba było sformować kadrę. Osoby, które dojeżdżały do Pniew, a do takich należała Danuta, dostały propozycję pracy w nowej placówce. Wykonała wtedy ambitne zadanie – zorganizowała administrację nadleśnictwa od podstaw. Nieodległy od Niemierzewa Sieraków bardzo artystkę pociągał, szczególnie jego historia i zabytki: Zamek Opalińskich, stary kościół parafialny, unikatowe Stado Ogierów z 150-letnimi budynkami i pomnikowymi cisami. Ale oczkiem w głowie artystki jest tutejsza świątynia protestancka, popadająca w ruinę, jeszcze – jej zdaniem – do uratowania. Zachwycające są empory z ornamentami, których fragmenty zachowały się we wnętrzu, i położenie nad rzeką, w tym miejscu malowniczo meandrującą. Gdyby tak kościół odrestaurować, urządzać nad Wartą plenery, przyciągać artystów do miasteczka? Ot, marzenia artystki. Jeszcze niespełnione.

– W Sierakowie wróciłam do rzeźbienia – mówi Danuta. – Okazało się, że związki między mną a gliną były głęboko zakorzenione, tylko prozaiczność je przytłumiła. Wystarczył przypadek, by ożyły. Podczas podziemnych prac w miasteczku wyrzucono na powierzchnię glinę. Zwały cennego surowca leżały i się marnowały. Patrząc na nią, a ona uśmiecha się zaczepnie. Wzięłam trochę do domu i spróbowałam coś ulepić. To był dobry drugi początek, okres spontanicznego tworzenia. Pamiętam, że wpadałam wtedy w trans, siadałam i rzeźbiłam, rzeźbiłam, rzeźbiłam. Dziwiłam się, kiedy widziałam efekt pracy rąk – to było tak, jakby same urabiały glinę. Kiedy dziś patrzę na pierwsze rzeźby, one wcale nie są gorsze od późniejszych, są świeże i oryginalne. Z nostalgią wspominam też czas, kiedy dźwigałam do domu glinę, urabiałam ją, szlifowałam od kamyczków, doprowadzałam do odpowiednich parametrów wilgotność i tłustość. Dziś już nie muszę się z gliną męczyć. Natrafiłam na fantastyczne jej źródło – kopalnię Geol-Min w Kielcach. Piękną, czerwoną glinę przetwarzają tam na masę plastyczną. Ma fantastyczne parametry do wypalania. Poczta kurierską dostaję ją do domu, ładnie opakowaną – tylko sięgnąć i rzeźbić.

Przypadek sprawił, że w ręce Danuty wpadła gazeta, z której wyczytała, że jest coś takiego jak OPTAL. Wysłana do Gołuchowa statuetka „Kobieta z koszem” dostała drugą nagrodę. To był rok 2003, przełomowy dla niej. Przyniósł sukces. Czuliła przyjemność i satysfakcję – jej rzeźby zostały zauważone, były coś warte. Nagroda dała impuls do pracy nad warsztatem. Zapisala się na indywi-

dualne lekcje u nauczyciela rzeźby i malarstwa, ale po jakimś czasie, w obawie o swoją artystyczną tożsamość, wycofała się z tych zajęć. W tym czasie córka Ania zdała maturę; artystka pomagała jej wybrać uczelnię. Wybór padł na Wyższą Szkołę Umiejętności Społecznych w Poznaniu, kierunku Ochrona Prawna Dóbr Kultury. Kiedy Danuta zobaczyła, jakie przedmioty wykłada się na tym wydziale, natychmiast zadzwoniła na uczelnię z zapytaniem: czy ja też mogę? Nie odmówiono. I tak matka i córka spotkały się w studenckiej ławce.

– Anię to deprymowało trochę, ja byłam szczęśliwa – mówi artystka. – Pragnęłam wiedzy, upajałam się nią. Po roku osiągnęłam średnią 4,6. Córka jest lepsza w przedmiotach prawnych, ścisłych, natomiast wszystko to, co związane jest ze sztuką: kultura antyczna, techniki malarskie, doktryny artystyczne, historia sztuki – to moja domena.

Wiedzy artystce ciągle było mało. Kiedy po roku okazało się, że na uczelni powstaje wydział artystyczny, zapała się, że musi tam być. Obecnie studiuje na pierwotnie wybranym kierunku, uzupełniając go przedmiotami z drugiego: rzeźbą, rysunkiem i malarstwem. Przed nią praca licencjacka „Ceramika w rzeźbie”. I dalsza nauka w Akademii Sztuk Pięknych.

W Sierakowie ma artystka ładny, przestronny dom, który od stanu surowego, otwartego budowała własnymi rękami. Patrząc na te ręce i nie dowierzam. Pod tym dachem, bez męskiego wsparcia, przygotowywała piątkę dzieci do dorosłego życia. Dom, praca zawodowa, szkoła, rzeźbienie – gdzie tkwi tajemnica tej niespożytej energii? Siadamy z artystką w saloniku-pracowni, przy stole, na którym ona zwykła rozkładać glinę do pracy. Spoglądam na figurki małe i większe, na rysunki węglem ogromnych formatów, płaskorzeźby zdobiące ściany, obrazy na kartonie, na filizanki przez nią malowane. I już wiem, że częściowa odpowiedź na moje pytanie tkwi w tym saloniku, w którym artystka realizuje rozliczne pasje. W kuchni najmłodszy Borysław Hubert przygotowuje obiad, Ania na piąterku wymyśla motywy do malowania na szkle, Gniewomir z żoną właśnie wrócili ze szkoły rodzenia i odpoczywają (Maja i Jarogniew są już na swoim). Piątka dorosłych dzieci – dobrze spełniony obowiązek matki. Są już samodzielne i teraz one ją wspierają. Danuta może brać kolejny rozpęd.

Przyglądam się rzeźbom. Kompozycjom wyciszonym i dynamicznym, nawiązującym do mitologii i współczesnym. Uwagę przykuwa alegoryczna „Matka Ziemia”, dynamiczne „Tango” i prześmiewcza „Kruszynka”. Wskazuję na postaci świętych. Dużo ich wśród prac artystki.

– Tematyka świętych powstawała przeważnie na zamówienia – mówi artystka. – Zaczęło się od postaci Papieża. Ze strony ojca jestem spowinowacona z rodziną Wojtyłów. Kuzynka jechała z wizytą do Watykanu, prosiła, bym wyrzeźbiła prezent dla Ojca Świętego. Miało być popiersie, przekonałam ją, by było to coś nawiązującego do papieskich korzeni. Zrobiłam statuetkę Papieża z krakowianką. W momencie, kiedy nadszedł termin wyjazdu do Watykanu, Papież odszedł. Statuetka znalazła miejsce w Jego domu – w Wadowicach. Po Papieżu była św. Cecylia, patronka muzyki kościelnej. Rzeźbiąc świętych, musiałam zaznajomić się dokładnie z ich żywotami, żeby właściwie oddać ich osobowość. Św. Cecylia to męczennica, skazana za wiarę na śmierć. Żołnierze, którzy mieli wykonać wyrok, oczarowani jej pięknnością, błagali ją, by wyparła się wiary. Ona była nieugięta. Pod wpływem tej postawy miało się nawrócić 400 żołnierzy. Rzeźbiąc, musiałam o tym pamiętać. Oprócz atrybutu patronki, którym jest harfa, podkreśliłam także jej kobiece walory. Św. Cecylia spodobała się, wykonałam cztery interpretacje postaci, jedna z nich, prawie metrowa, stoi na chórze w kościele w Zębowie, naprzeciwko czternastowiecznej św. Barbary.

Ciekawi mnie szczególnie rzeźba św. Franciszka, patrona ekologów. Zapamiętany jest jako nieco dziwaczny święty, taki „wesołek boży”, prawiący kazania do ryb i ptaków. Danuta przedstawiła go jako mnicha z kapturem na głowie, pogrążonego w rozmyślaniach, z łaszącym się do świętego wilkiem.

– Nie chciałam się wzorować na innych – mówi. – Św. Franciszek początkowo był uznawany przez jemu współczesnych za niespełna rozumu – toż to głupota rozdać swój majątek, żyć w biedzie i w pokorze, a jeszcze na dodatek przemawiać do zwierząt! Chciałam, by mój Franciszek był bliżej ziemi niż nieba. Skromny, dobry i ciepły. Bliski ludziom ubogim i wszystkim zwierzętom. Poruszyła mnie legenda „Rozmowa św. Franciszka z wilkiem” i tak właśnie starałam się przedstawić postać świętego. Ma 30 cm wysokości i jest odlany z brązu. Zyskał dużą popularność. Potem rzeźbiłam św. Jana Chrzciciela, św. Mikołaja, św. Andrzeja i św. Huberta, patrona myśliwych.

Artystka lubi otaczać wykonywane przez siebie rzeźby nimbem tajemnicy. Stąd zapewne kaptury zakrywające twarze figur, zagadkowość takich prac, jak „Kobieta wąż” i cykl „Duchy”. Od postaci figuralnych odbiega rzeźba Sylwana, bóstwa opiekującego się lasami. Jest to posąg składający się z kolumny zwieńczonej głową fauna, pod którą osadzony jest róg z lewej i instrument bóstw leśnych z prawej strony.



– Statuetka Sylwana jest przyznawana jako nagroda w Nadleśnictwie Jarocin za osiągnięcia leśne i ekologiczne. Bardzo mi ten temat odpowiadał – mówi artystka – bo wiązał się z moim zainteresowaniem mitologią. Zaczęło się od skandynawskiego wojownika, którego wykonałam na zamówienie znajomych z Niemiec. Przystudiowałam wówczas stosowną literaturę i dokumentację. Figurka wikinga dała początek fascynacji kulturą skandynawską. I nie jest to przemijające zainteresowanie, ono trwa. Mam bardzo bliskie związki z krajami Europy Północnej. Pociąga w nich natura – dzika, dumna i nieprzystępna, a jednocześnie szlachetna. I szczególne poszanowanie dla przyrody, dla czystości. Wiele urlopów spędzam w Szwecji. Zaczytuję się w skandynawskiej mitologii. Saga – mój artystyczny pseudonim – to niejako hołd złożony tym frapującym opowieściom i przyrodzie Skandynawii.

Wśród odbiorców rzeźb Sagi są leśnicy i myśliwi. Artystka, która spędziła w tym środowisku ponad 20 lat, doskonale poznała atrybuty tego zawodu. To pozwala jej uniknąć w rzeźbie technicznych błędów nawet w drobiazgach, do których leśnicy przywiązują dużą wagę. Sama nie poluje, ale rozmówiona jest w tradycji myśliwskiej, w otocze towarzyszącej łowiectwu i stara się przekazać to w sztuce.

– Szczególnie fascynują mnie sokolnicy – mówi. – Sylwetki polujących z sokołem są wręcz zjawiskowe. „Kobieta z sokołem” to jedna z moich ulubionych rzeźb.

Znawcy twierdzą, że artystka ma przyrodzony dar – wycucie bryły. I jeszcze coś więcej, co mają tylko nieliczni – wycucie ciała. Oglądając rzeźby, ma się wrażenie, że są żywe. Jakby artystka tchnęła w nie życie, ożywiła materię. Większość prac Saga tworzy w glinie, której nie wypala, gliniane modele daje pod odlew tylko wówczas, gdy chce je – na życzenie odbiorcy – powielić i utrwalić w brązie. Artystka zajmuje się też malarstwem ściennym i sztalugowym, maluje na szkle. Ale duszę oddała rzeźbie. „Rzeźba to pasja – mówi – malarstwo to wyzwanie, a malowanie na szkle i ceramice, z całym szacunkiem dla niego, ale jednak rzemiosło”.

Saga otwiera swoje portfolio. Są tam fotografie rzeźb, recenzje z indywidualnych wystaw, wyrazy wdzięczności dla artystki od zielonych szkół za udane zajęcia plastyczne. Są podziękowania od dzieci niepełnosprawnych, emerytów, dla których organizowała sesje rzeźbiarskie. Zaproszenia na wernisaże. Są prasowe wzmianki o nagrodach. Dziś artystka jest członkiem Związku Artystów Plastyków, Związku Ceramików Polskich o oryginalnej nazwie „C”, należy do Stowarzyszenia Środowisk Twórczych EKOART. Oprócz



licznych wystaw indywidualnych w kraju (we wrześniu 2008 w Warszawie, później w Szwecji), praktycznie bez przerwy bierze udział w wystawach zbiorowych organizowanych przez Związek Ceramików Polskich.

– Gлина jest materiałem idealnym do terapii artystycznej – mówi Saga. – Zwłaszcza dla osób niepełnosprawnych. Wielokrotnie prowadziłam zajęcia z modelowania w glinie w różnych placówkach, m.in. w Ośrodku Edukacji Ekologicznej w Chalinie. Dziecko, nawet najbardziej ruchliwe i niesforne, kiedy poczuje bakcyła, nie może od gliny się oderwać. Zadanie artysty polega na tym, żeby zainteresować je, oswoić z materiałem, wytłumaczyć zasady rzeźbienia. Na przykład, że jeśli się nie wydrąży rzeźby w środku, to ona pęknie przy wysychaniu, a nieporządnie dolepiiony element zaraz odpadnie. Przestrzegam przed dolepianiem wystających szczegółików, bo te nie trzymają się długo, co powoduje niezadowolenie z efektów wykonanej pracy i zniechęca. Najczęściej uczę dzieci robić coś prostego, np. baranka. Do tego potrzebne są glina, ołówek (można nim zaznaczyć wzory runa) oraz inwencja twórcza i własne środki wypowiedzi, które staram się w dzieciach rozwijać. Miałam na zajęciach dziewczynkę, która z gliny wycharowywała wspaniałości, na przykład dolepiała do tułowia baranka cieniutkie wałeczki tak cierpliwie i dokładnie, że wyszły wspaniałe karakuły.

– Pyta pani o moje malowanie – mówi dalej artystka. – Droga do malarstwa była trochę nietypowa. Zetknęłam się kiedyś ze stwierdzeniem, że nie każdy malarz potrafi rzeźbić, natomiast każdy rzeźbiarz potrafi malować. Postanowiłam spróbować. Wyszło chyba nie najgorzej. Rysunek, który jest podstawą dla każdego artysty, i malarstwo studiuje w pracowni profesora Andrzeja Łubowskiego. Prawie wszystkie prace wykonuję w dużych formatach, takie polubiłam; rysunek węgłem lub czarną pastelą, a malarstwo akrylami na płycie. Każdy artysta tworzy inaczej, bo inaczej widzi. Ale wizja to nie wszystko, trzeba wiedzieć, jak narysować, jaką techniką, jak wymieszać kolory, jaki dać podkład. To tak samo ważne jak alfabet. Bez niego nawet geniusz literacki książki nie napisze. I ja się uczę. Wydaje mi się, że obraz jest łatwiejszą formą przekazu niż rzeźba, która ma ograniczenia. Na przykład, niedawno brałam udział w wystawie EKOART-u pt. „Powietrze”. Jak przekazać powietrze w rzeźbie? Moja ażurowa praca była chyba jedyną rzeźbą na wystawie.

Artystka stawia przed sobą coraz to nowe wyzwania. W „Przenikaniu” połączyła korę z wypaloną gliną. Wyszło znakomicie – obie materie tworzą jedność trudną do wyróżnienia w rzeźbie. Opanowała też odlewy, przygotowując samodzielnie formy wo-



skowe do odlania w brązie. Kiedy pracowała z silikonową formą, przyszedł pomysł na odlewy w czekoladzie. Przeglądając magazyny mody, natrafiła na informacje, że najmodniejsze na tkaninie są wzory ekspresjonistyczne. Czemu nie spróbować namalować takie, np. na bawełnianych podkoszulkach, sprejem do znakowania drewna, bo leśnicy mówią, że jest nie do starcia? Już zamówiła przez Internet farby do materiału. Myśli o stworzeniu kolekcji oryginalnej, niepowtarzalnej.

Przy Nadleśnictwie Sieraków powstaje Centrum Edukacji Leśnej, ukierunkowane zwłaszcza na dzieci niewidome. Prowadząca tę placówkę Honorata Ogonowska-Chrobrowska wymyśliła planszową i terenową grę dla dzieci „Leśna przygoda z Leszczynkiem”, a Saga zaprojektowała postać Leszczynka, który jest maskotką placówki. Zaprojektowała także, wspólnie z kolegą-informatykiem, logo nadleśnictwa. Są jeszcze plany, by rozświetlić miejsce, w którym żyje, dołożyć cegiełkę do rozwoju Sierakowa. Na wystawy w tutejszym zamku ściągają już ceramików i rzeźbiarzy z całej Polski. Teraz marzą jej się cykliczne plenery malarskie nad Wartą. Chciałaby też zorganizować stałą pracownię rzeźby i ceramiki. Młodzież przyjeżdżająca do Sierakowa, smakując tutejszą przyrodę, mogłaby tam zaglądać, ale też bardziej wykorzystywać przygotowaną przez nadleśnictwo edukacyjną ścieżkę przyrodniczą.

Zważywszy, że artystka jest na początku drogi twórczej, bo przecież sztuką na dobre zajmuje się dopiero od 2003 r., znając jej energię, witalność i determinację, nie ma cienia wątpliwości, że spełni się to wszystko, co planuje i o czym marzy.



6. Nieopodał Świętojanki

Starachowicki dworzec autobusowy to bardzo zła wizytówka miasta, które przed II wojną światową słynęło z przemysłu hutniczego i zbrojeniowego, a po wojnie było ważnym ośrodkiem motoryzacyjnym PRL. Oglądane z tej perspektywy, sprawia wrażenie zaniedbanego i brzydkiego. A przecież, wchodząc głębiej w miasto, dostrzec można miejsca naprawdę ładne: uliczki z resztkami ciekawej, starej architektury, liczne zabytki architektury przemysłowej i sakralnej, a także nieliczne nowe domy stylowe. Pełna powabu jest Kamienna – jej tarasowa dolina nadaje Starachowicom niepowtarzalny klimat. Ale najatrakcyjniejsze jest to, co wokół miasta – wielokilometrowy pas lasów, pozostałość po dawnej Puszczy Łżeckiej. Największe bogactwo i piękno tego terytorium. W Lubieni, osiedlu przytulonym do starachowickiego lasu, mieszka Grzegorz Ożóg, leśnik z artystyczną smykałą.

Ojciec Grzegorza Ożoga, były pracownik Fabryki Samochodów Ciężarowych „Star” i Polmozbytu (obecnie na emeryturze) cały czas wolny od pracy wypełniał malowaniem. Nigdy nie uczył się rysunku, nie zgłębiał technik malarstwa. Jest samoukiem, ale z wielkim wyczuciem maluje pejzaże, portrety, ludzi i zwierzęta. Kiedy Henryk Ożóg rozkładał swoje malarskie akcesoria, kilkuletni Grzegorz natychmiast porzucał zabawki i z zaciekawieniem przyglądał się powstającym obrazom. W kilka lat potem siadał już obok ojca i rysował, malował co mu w duszy grało. To były jedyne lekcje malarstwa, które pobierał.

– W latach chłopięcych z podziwem oglądałem reprodukcje obrazów Juliusza Kossaka – mówi pan Grzegorz. – Pamiętam, że Indianie, którzy często byli wówczas bohaterami moich rysunków, wszyscy siedzieli na koniach. Będąc pod urokiem koni Kossaka, ale już dużo, dużo później, namalowałem też „trojkę” w technice olejnej i podarowałem rodzicom. Ale nie wzoruję się na żadnym artyście. Tworzę sam z siebie. Jest to typowo amatorskie malowanie. I kiedy pyta pani o początki mojej twórczości, mogę tylko odpowiedzieć, że cały czas jestem na początku.

Ojciec nauczył rysunku, zaraził malarstwem, a matka?

– Mama 37 lat przepracowała w Lasach Państwowych, w trzech nadleśnictwach, najpierw w Stąporkowie, potem w Ratajach i – do emerytury – w Starachowicach. Kiedy po studiach wróciłem do Starachowic, jeszcze siedem lat pracowaliśmy razem.

Ja w dziale gospodarki leśnej zajmowałem się ochroną, mama – zagospodarowaniem lasu. Jako pracownik była wzorowa, jako matka – jeszcze bardziej. Jej zawdzięczam zainteresowanie przyrodą, które zaowocowało wyborem kierunku studiów, od niej zaraziłem się leśnym zawodem.

Studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie oderwały Grzegorza od malowania. W akademiku nie było ani warunków, ani odpowiedniej atmosfery do artystycznych zajęć. I czasu nie stało, bo na studiach Grzegorz zgłębiał przedmioty przyrodnicze z zainteresowaniem godnym przyszłego leśnika, a wolne chwile poświęcał poznawaniu kraju. Jako członek Akademickiego Koła Turystycznego, co weekend wędrował z grupą studencką na Mazury, nad morze, w góry, a nawet do Czech i Słowacji. I złapał nowego bakcyła – fotografię. Do Koła Turystycznego zapisała się również Małgorzata, studentka Wydziału Technologii Żywności. Nauka na tej samej uczelni i zainteresowania turystyczne zbliżyły tych dwojga. Jeszcze przed ukończeniem studiów pobrali się.

– To była wieka miłość; nadal trwa – mówi pan Grzegorz. – Jesteśmy małżeństwem już 12 lat, dochowaliśmy się dwójki dzieci, Beatka ma osiem lat, Karol Hubert – trzy, a to zauroczenie, które wtedy się zaczęło, nic nie straciło na intensywności.

Na uczelni wielu kolegów Grzegorza polowało. Oni szli polować ze strzelbą, on towarzyszył im z aparatem fotograficznym. Nazywali go myśliwym-fotografem i trochę pokpiwali z bezkrwawych łowów. Ale żniwo Grzegorza zawsze okazywało się znacznie bogatsze od pokotu. I trwalsze.

Pani Małgorzata rozkłada na stole albumy ze zdjęciami, których większość pochodzi właśnie ze studenckich czasów. Śmieje się, że są to fotografie zoologiczno-entymologiczne. Ujawniają to, o czym pan Grzegorz tak skąpo mówi – fascynację przyrodą.

– Pamiętam, że muflony tropiłem podczas pobytu na obozie naukowym w Górach Stołowych – wspomina. – Żubry są z Białowieży, natomiast ryś z Kampinosu; wtedy właśnie go tam wprowadzono.

Kartkujemy kolejne albumy. Na zdjęciach kwiaty, motyle, ciekawe plenery. Na kilkunastu – borsuk w różnych sytuacjach, a przecież ten mały drapieżnik niełatwy jest do ujęcia obiektywem.

– Kiedy na drugim roku stanąłem przed wyborem tematu pracy magisterskiej, pojawiła się telemetria, terenowa metoda badania życia zwierząt – powiada pan Grzegorz. – Technika telemetryczna pozwala zdobywać informacje praktycznie bez ingerencji w ich życie. Namiary prowadzone są z dużej odległości, dzięki czemu zwierzęta nie są nawet świadome obecności obserwatora.

A on może dowiedzieć się nie tylko, na jakim obszarze się poruszają i jak daleko wędrują, ale także, czym i jak się odżywiają, jak wygląda ich cykl aktywności dobowej, jak kontaktują się z osobnikami swojego gatunku, jak się rozmnażają. Zakładanie nadajników zwierzętom – była to wówczas nowa rzecz. Zainteresowała mnie. Wcześniej chciałem zająć się wielkimi drapieżcami. Przymierzałem się do wilka, potem rysia. Pomyślałem, że dzięki teledetekcji mogę spróbować bliżej poznać zwierzę słabo zbadane i opisane, ale o ciekawym trybie życia. Do takich należy borsuk. Fascynujące zwierzątko. Borsuk prowadzi życie nocne, dzień przesiaduje w norze. Bardzo dba o czystość. Nieczystości z nory wyrzuca na zewnątrz, a swoje odchody zakopuje w dołkach w pobliżu jamy. Z nastaniem mrozów zasypia, żyje nagromadzonym w organizmie tłuszczem. Ale sen zimowy nie jest ciągły, w dniach ocieplenia zwierzę budzi się, zaspokaja pragnienie lub coś łowi. Czasami borsuki zamieszkują jamę wspólnie z królikami, nigdy z lisami. Borsuk nie jest w stanie znieść niechlujstwa lisa i zapachu, jaki roztacza. Jeśli lis „wprowadzi się” do borsuczej nory, co czasami ma przebieg dramatyczny, borsuk ją opuszcza i kopie sobie nową. Obserwowanie borsuka to była przyjemna praca, bo najpierw należało zwierzęta schwytać, pozakładać nadajniki, a potem, głównie nocą, prowadzić obserwacje. Trzy lata poświęciłem borsukowi, ale było warto.

Zaraz po studiach w 1997 r. pan Grzegorz rozpoczął pracę w Nadleśnictwie Starachowice. Zamieszkał w Lubieni, w osiedlu należącym do Lasów Państwowych. W jednopiętrowych domach z ogródkami mieszkają obecni lub byli pracownicy nadleśnictwa. Sami swoi. Nie ma kradzieży, jest cicho i bezpiecznie. A wokół las.

Lata od 1998 do 2004 to dla pana Grzegorza był czas najintensywniejszego malowania. Nie było jeszcze syna, zawodowe zajęcia też były mniej absorbujące. Urządził sobie wówczas na piętrze pracownię, gdzie swobodnie mógł rozkładać sztalugi, przygotowywać farby, nikt go za artystyczny nieład nie ganił. Nikomu też nie przeszkadzało, że obraz, który zajmował dużą część przestrzeni, stał niedokończony kilka lat, bo malarz ciągle coś w nim zmieniał. Kiedy urodził się Karol Hubert (pierwsze imię po Janie Pawle II, drugie po patronie myśliwych), oddał pracownię na pokój dziecienny.

– Z tego powodu maluję rzadziej i mniejsze obrazy – mówi pan Grzegorz. – Nie maluję z natury, choć tematami moich obrazów jest przyroda, las, są dzikie zwierzęta. Taki zdolny nie jestem. Czasem bywa tak, że wpadnie mi w ręce jakieś ciekawe zdjęcie i zainspiruje twórczo, np. bajorko w środku lasu ujęte przez artystę fotografa. Ale przeważnie jest tak, że jeśli coś ciekawego zobaczę w lesie czy w górach, to robię zdjęcie albo szkicuję. Tak zapamiętuję oglądaną naturę. W domu powstają rysunki w skali,



na kartonie, potem szkicuję zarys plenerów, czyli planuję całościową koncepcję obrazu, w końcu przenoszę tę wizję na płótno. Bywa, że dodaję jeszcze jakieś elementy, które akurat do pejzażu pasują. Na przykład, na obrazie „U źródeł Wisły” domalowana jest wydra; posadziłem ją na kamieniu. Maluję bardzo wolno, nie tak jak ojciec. Tata potrafi portret w jeden dzień wykonać. Ja maluję dokładnie – każdy szczegół, każde źdźbło trawy są przede mną wypracowywane. I spontaniczny nie jestem. Długo szukam tematów, wolno we mnie dojrzewają. Od momentu, kiedy zobaczę coś ciekawego, do ustawienia sztalug upływa sporo czasu. Na chleb bym malarstwem nie zarobił. Swój największy obraz o wymiarach 200x87 cm malowałem pięć lat. Ogólny zarys był dość spójny, nie ulegał zmianom, natomiast detale kilkakrotnie przemalowywałem. A kolory? One same układają się w głowie.

W zasadzie pan Grzegorz nie pokazuje swoich prac na zewnątrz. Rozdaje obrazy w rodzinie, z okazji urodzin, imienin, ale też bez okazji, kiedy ktoś bliski zamówi. „Głuszcza”, na przykład, dostała pani Małgorzata z okazji drugiej rocznicy ślubu, największy obraz – „Świt” – z okazji piątej. O swoim malarstwie pan Grzegorz mówi, że jest typowo amatorskie – odrywa od pracy, od codzienności, atrakcyjnie wypełnia wolny czas. A jednak, kiedy w 2003 r. do nadleśnictwa nadeszła informacja o OPTAL-u w Gołuchowie i małżonka powiedziała: „Wyślij!” – usłuchał. Wielkie było zaskoczenie i radość, kiedy usłyszał werdykt jury: II miejsce w kategorii malarstwo za obraz „Wisła u źródeł”.

– Malarstwo męża to dla mnie coś wyjątkowego – mówi pani Małgorzata. – Kiedy przywiózł nagrodę z Gołuchowa, byłam dumna. Wierzę w jego talent i byłam pewna, że inni go dostrzegą. Lubię to jego malowanie. Ten czas, kiedy siada przy stole w saloniku i szkicuje albo rozkłada sztalugi, pędzle, a po mieszkaniu rozchodzi się zapach farb. Naskórkowo czuję radość męża. Od pewnego momentu stworzył się taki tradycyjny model odpoczynku rodziny. Jest cisza. Ja z książką zasiadam w fotelu, od czasu do czasu spoglądam, co rodzi się na płótnie. Ale, broń Boże, nie czynię uwag. Ja i dzieci jesteśmy tylko obserwatorami. Zbyt szanuję wizję i koncepcję męża, by narzucać mu swoje. Raz tylko ośmieliłam się spytać, czemu zwierzęta na obrazie nie są w ruchu. To namalował „Wilki atakujące”...

Przyglądam się obrazom artysty, które są znakomitą częścią wystroju całego domu. Wszystkie mają swoje stałe miejsca. Domownicy przyzwyczaili się do nich. Pani Małgorzata mówi, że nie byłaby zadowolona, gdyby miały wywędrować w świat. W korytarzyku dostrzegam rzeźby.

– Rzeźbą w drewnie też zaraził mnie tata – mówi pan Grzegorz. – Ojciec mieszka w Starachowicach, ale kiedy odwiedza nas w Lubieni, a ja mam właśnie czas, razem siadamy przy stole i rzeźbimy. „A może by tak ramę do lustra wyrzeźbić?” – sugeruje tata.



1



2



3

Więc rysujemy ozdobną ramę. Potem ojciec rzeźbi z grubsza, a ja wydłubuję szczegóły. Sowa, czapla, dwa bąki, niedźwiedzie, wszystko to rzeźby w drewnie, efekt naszej wspólnej pracy.

Jest jeszcze jedna dziedzina twórczości pana Grzegorza, bardzo nietypowa – wyszywanie obrazków. Skąd wziął się pomysł na dzierganie?

– Kiedy byłem w liceum, deprymowała mnie szarość, szczególnie w ubiorze – mówi artysta. – Pamiętam, że wówczas na rękawach marynarki, na bluzach wyszywałem rozmaite barwne emblematy. Chciałem się jakoś wyróżnić z tłumu. Ale kiedy świat wokół zaczął się zmieniać, przybywało mu kolorów, wyszywanie odstawiłem do lamusa. Po wielu latach wróciłem do tej techniki, tyle że dziś dziergam obrazki. To taka odskocznia od malowania. Zaczynam od szkicu na papierze. Następnie rozrysowuję temat kolorowymi kredkami na kartce, żeby było wiadomo, która barwa, w jakim miejscu. A potem rysuję ten obrazek na płótnie. Reszta to dzierganie. Bardzo żmudna praca. Żeby zabrać się za wyszywanie, trzeba mieć w rezerwie sporo czasu. Malowanie mniej męczy, łatwiej też coś poprawić. Na tkaninie też da się coś zmienić, ale wypruwanie nici to wyjątkowo mozolna robota. Jakich nici używam? Nie patrzę na gatunek, muszą być kolorowe. A żona, czy pomaga? O, tak! – pan Grzegorz się śmieje. – Żona nawleka nitkę.

Na obrazach olejnych barwy są stonowane, nie ma w nich jaskrawości, soczystości. Tkanina czerwieni się i złości. Dwa obrazki wiszą w saloniku, na jednym wydziergany jest daniel, na drugim głuszec. Są śliczne.

Praca artystyczna i praca w lesie są obok siebie. W Nadleśnictwie Starachowice pan Grzegorz pełni obecnie funkcję sekretarza. Jego obowiązki to budowa osad i dróg oraz remonty, naprawy i konserwacje związane z całą infrastrukturą nadleśnictwa.

– Lasy starachowickie – mówi pan Grzegorz – są pozostałością Puszczy Łżeckiej. W okresie międzywojennym były własnością spółki akcyjnej pn. „Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczych”. Po wojnie przejęło je państwo. To piękne lasy, mocno zróżnicowane gatunkowo, bogate w zwierzynę. Przez 11 lat mojej pracy w nadleśnictwie odcisnąłem wiele śladów na tym terenie. Wybudowałem dwie kompletne osady leśne, kilkanaście kilometrów dróg żwirowych i asfaltowych – od podstaw lub remontowanych. Przede mną budowa osady w centrum Starachowic.

Jest jeszcze coś, z czego pan Grzegorz jest dumny – ścieżka dydaktyczna. Dzieło wspólne jego, Pawła Załęskiego i kilku innych pracowników nadleśnictwa, a także konserwatora przyrody i projektanta. Wytyczono ją w rezerwacie fitosocjologicznym Roso-



chacz, gdzie ochronie podlega drzewostan i roślinność w źródłiskach rzeczki Świętojanki. Grzegorz-leśnik zaprojektował dla ścieżki stelaże do tablic, schody, poręcze, przejścia, kładki, pomosty, wybrał materiał do budowy, ustalił, jak mają być posadowione. Grzegorz-artysta angażował się w wytyczanie jej szlaku.

Jest malowniczy! Ani śladu monotonii. Na trzykilometrowym odcinku ścieżka to wznosi się, to znów opada, biegnie przez miejsca suche i wzdłuż mokradła, a w dolinie ciekawie wiję się Świętojanka. Na całym szlaku ustawiono 30 tablic tematycznych. Opowiadają o źródłiskach rzek, gatunkach drzew, piętrach lasu, o gospodarce leśnej. Przedszkolaki, młodzież szkolna, także dorośli, którzy przyjeżdżają tu, by poznawać przyrodnicze bogactwo lasów starachowickich, smakują także piękno tego miejsca.

Stajemy na podeście ustawionym na wysokim brzegu Świętojanki. W dole woda leniwie szemrze, pluszcze na kamykach. „Malarskiemu” widokowi przydaje uroku nieodległy wodospadzik. Na niskim brzegu Świętojanki ustawiono tabliczki z opisem roślin, które rosną nad wodą. Dzieci uczą się je rozpoznawać. I ja z tego miejsca wywożę wiedzę przyrodniczą. Pan Grzegorz uświadomił mi, że konwalia to nie to samo co konwalijka. Jedna kwitnie w maju, druga – dwulistna, nieco mniejsza – dopiero w czerwcu. O tym nie wiedziałam.



7. Ocalić od zapomnienia

Było upalne lato 1973 r., sobota. Do nadleśnictwa w Wetlinie wszedł średniego wzrostu młody mężczyzna, z którym sekretarz, Józef Krzysik, miał spisać umowę na rozbiórkę drewni, gdzie składowano drewno na opał dla hotelu robotniczego. Cieszył się, że załatwi tę sprawę przed urlopem, na który miał się udać w poniedziałek. Drewnianą szopę nadleśnictwo postawiło na obcym gruncie, należącym do funduszu ziemi, nic więc dziwnego, że z miejskiej architektury przyszło pewnego dnia polecenie, by ją natychmiast rozebrać. Zainteresowania robotą nie było, bo wyceniono ją na grosze. Kiedy więc zgłosił się człowiek chętny do rozbiórki i zakupu desek z drewni, w biurze nadleśnictwa z radością na to przystano. Deski miały być przeznaczone na budowę garażu. Sekretarz spisał umowę, w której precyzyjnie określił termin wykonania pracy – podpisali ją nadleśniczy i główny księgowy. Petent w milczeniu zabrał dokument i, grzecznie się skłoniwszy, wyszedł.

Następnego dnia, w niedzielę, Józefa Krzysika zbudziło ujadanie psów i walenie do drzwi. Wyjrawszy przez okno, zobaczył gazik milicyjny na drodze, a przed domem dwóch mężczyzn – jednego w milicyjnym mundurze z naszywkami sierżanta, drugiego wojskowego, podporucznika. Krzysik, zupełnie nieświadomy celu wizyty, wpuścił mundurowych do środka. Okazało się, że petentem, który zakupił deski, był... proboszcz z Cisnej. A deski potrzebne były nie na garaż, lecz na budowę kościoła. Przy drewni natychmiast postawiono krzyż i zaczęto się modlić, ludzie śpiewali nabożne pieśni. „Nie ujdzie to wam na sucho!” – zagrozili sekretarzowi przed wyjściem.

W poniedziałek rzeczywiście rozpętało się piekło. Mimo iż Krzysik był na urlopie, wezwano go do nadleśnictwa. Przed budynkiem zajechały samochody z rejestracją rzeszowską, sanocką i leską. Wsiadło z nich kilkunastu mężczyzn, w tym osobistości z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych, prokurator powiatu bieszczadzkiego i co najmniej kilku tajniaków. Zaczęło się pranie mózgów. Nic nie pomogło tłumaczenie nadleśniczego, że sprzedali deski, bo zgodnie z zaleceniem architekta szopa miała być rozebrana w błyskawicznym terminie, że człowiek się nie przedstawił jako ksiądz, a oni go nie znali, bo jest nowy. Podkreślali, iż transakcję załatwiono zgodnie z literą prawa. Argumenty uderzały o mur. W końcu sekretarzowi nakazano pertraktować naj-

pierw z kobietami, by zaprzestały śpiewów i wróciły do domu, potem – i sekretarzowi, i nadleśniczemu – by przekonali księdza, by ten drewnię, zgodnie z umową, rozebrał i ludzi z placu zabrał.

Nie w smak im było, ale pojechali. Napomknęli wtedy księdzu, że czeka ich zwolnienie z pracy, a sekretarz usilnie prosił o litość przynajmniej nad nadleśniczym, który miał do wyżywienia żonę i czwórkę małych dzieci. Nic nie wskórali! Determinacja ludzi i księdza była ogromna. Kilkakrotnie zwracali się do władz o zezwolenie na budowę kaplicy w Wetlinie, bo do kościoła w Cisnej było aż 18 kilometrów, i ani razu nie dostali odpowiedzi. No to wzięli sprawę w swoje ręce.

Następnego dnia Józef Krzysik, członek partii, został wezwany do Leska, do samego pierwszego sekretarza komitetu. Wiedział, że „dadzą mu tam popalić”. Jadąc w zatłoczonym przez turystów autobusie, rozmyślał nad swoim życiem. Wspominał dzieciństwo spędzone w małej krośnieńskiej wiosce, naukę w Uniwersytecie Ludowym, powołanie do Służby Polsce, wojsko, wreszcie pracę w nadleśnictwach Cisna i Komańcza, skąd otrzymał przeniesienie do Wetliny na stanowisko leśniczego administracyjnego. „Kocham las i te góry – myślał. – Ciężko będzie stąd odejść. Jeszcze te troje dzieciaków i żona. Gdybym chociaż dorobił się własnego mieszkania. Mój kochany szwagier miał wiele racji, kiedy będąc »pod gazem« pytał mnie: »Czemu ty, durniu, nie kradniesz? Członek partii i sekretarz nadleśnictwa! Taka okazja! Płacą marnie, to trzeba sobie dokrać. Inaczej wyjdiesz na głupka. Patrz, co dzieje się na górze, jak tam panoszą się czerwoni ksiąężta!«. „To się zmieni, to się musi zmieni!” – odpowiadał mu niezmiennie.

W gabinecie sekretarza partii, w obecności naczelnika powiatu i wyższego rangą milicjanta, Krzysik dowiedział się, że wpadł w sidła reakcji, że razem z innym pracownikiem nadleśnictwa był inicjatorem budowy kościoła i czynnie wspomagał organizację tego nielegalnego przedsięwzięcia. Przedstawiono mu także list jednego z członków partii w Wetlinie, w którym ten m.in. napisał: „Krzysik prowadzi antypartyjną robotę, a jak są akademie ku czci świąt państwowych, to chodzi po Wetlinie i ironicznie się uśmiecha”. „Hańba! – na koniec wykrzyczał sekretarz partii. – Służba Bezpieczeństwa dobrze was rozszyfrowała. Daliście się podejść zwykłemu księdzu jak dziecko po podstawówce. Ludzie partii powinni zrozumieć, że socjalizm to nie kościoły, religia i inne ceremonie, które Lenin nazwał narkotykiem dla ludu. Co wy wniesiecie do socjalizmu, jak nasza rewolucja rozleje się po całym świecie niczym czerwony ocean?!”. Krzysik niewiele powiedział, bo do tak idiotycznych zarzutów nawet trudno było się odnieść.

W domu zastał wiadomość, że następnego dnia razem z głównym księgowym ma się stawić w Zarządzie Lasów w Przemysłu. Tam dostali wypowiedzenia z pracy. Wyrzucili też z pracy nadleśniczego i pracownicę zajmującą się remontami. Cała czwórka

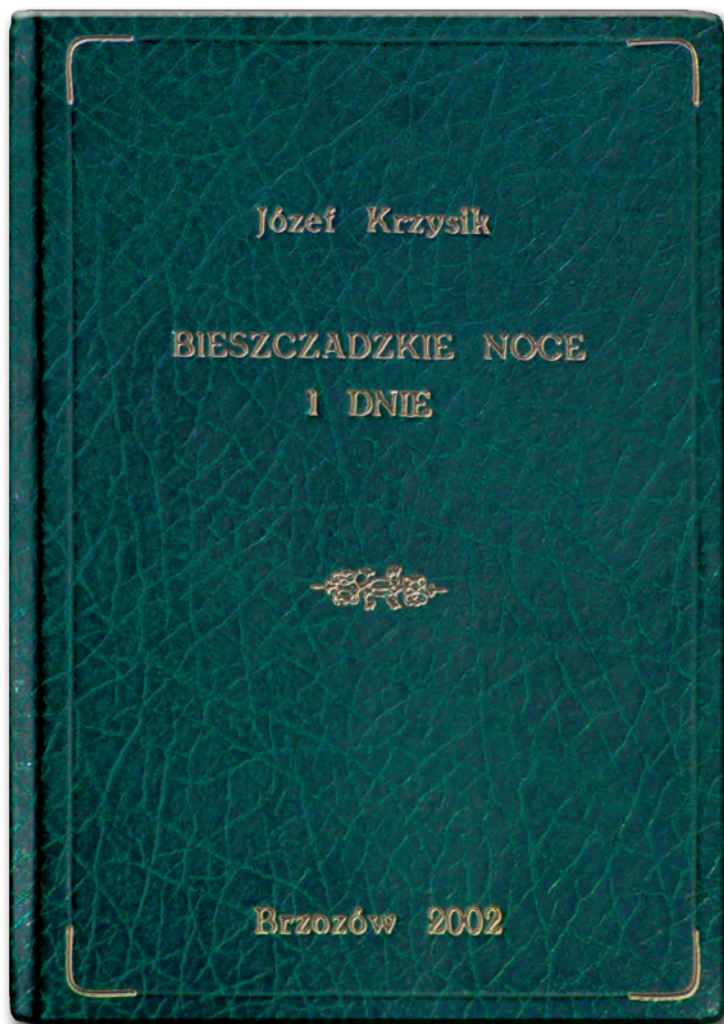
wiedziała, że przeznaczono ich do „odstrzału” w obawie o własne stołki. W pierwszym odruchu Krzysik chciał chwycić za pióro i opisać tę sprawę do Komisji Praw Człowieka w Genewie, ale koledzy wyśmiali go za naiwność.

W jakiś czas potem odbyło się uroczyste poświęcenie nowego kościoła w Wetlinie. W świątyniach diecezji przemyskiej celebrowano z tej okazji msze dziękczynne. Wygłaszano homilie. Nikt słowem nie wspomniał o zwolnionych pracownikach nadleśnictwa. Nikt nie zainteresował się ich losem. Ponieważ Krzysik był w tym czasie sekretarzem związków zawodowych, od wyrzucenia z branży wybronił go związkowcy z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych. Ale z Wetliny musiał się wynieść. Po jakimś czasie dostał posadę w Nadleśnictwie Krasiczyn. W sierpniu 1974 r. komendant Posterunku Milicji Obywatelskiej w Krasiczynie otrzymał informację ze Służby Bezpieczeństwa: „Na wasz teren przybywa niejaki Krzysik z Wetliny. Będzie pracował w nadleśnictwie. Musicie wiedzieć, że ma on powiązania z klerem i gdziekolwiek się pojawi – buduje kościoły. Pomóżcie nam w jego inwigilacji. Meldujcie o każdym jego kroku. To rozkaz!”. Paradoxem w tej historii było to, że Krzysik, ochrzczony budowniczym kościołów katolickich, był wyznania ewangelickiego.

Do dziś pamięta, jak bardzo wówczas czuł się bezsilny. Jak rozsierdziła go głupota i perfidia ówczesnych decydentów i jak zraniła obojętność księdza i diecezji. Ponieważ po sprawiedliwość nie miał gdzie się udać, przelał swój dramat na papier. Zdarzenie przedstawił w formie opowiadania, w którym jest i wartka narracja, i soczysty dialog, i klimat peerelowskich lat siedemdziesiątych. Za spisaną historię o aferze kościelnej Krzysik otrzymał w 1996 r. III nagrodę w konkursie na wspomnienia leśników, zorganizowanym przez Regionalną Dyрекcyję Lasów Państwowych w Krośnie. Opowiadanie zostało też przedrukowane w całości przez krośnieński tygodnik „Podkarpacie” oraz rzeszowskie „Super Nowości”.

Zachęcony wyróżnieniami i gratyfikacjami pieniężnymi, Józef Krzysik nie odkładał pióra. Postanowił opisać także swoje życie w latach 1957–1968 i późniejsze losy z lat 1974–1994. I tak powstała trzyczęściowa powieść „Różne kolory lasu” (I. „Z Woli Komborskiej w Bieszczady”, II. „Gorące lato w Wetlinie”, III. „Zaprzysiężona straż lasowa”). Pierwszą część pod tytułem „Bieszczadzkie noce i dni” wydało Muzeum Regionalne w Brzozowie. Tomik w nakładzie 150 egzemplarzy ukazał się w 2002 r. Rozszedł się natychmiast. Wielu leśników wyraziło chęć zakupu skserowanej wersji, ale autor nie wyraził na to zgody. „Różne kolory lasu”, jako całość, czekają na wydawcę.

– Z okruszynami młodości – co robić? Rozrzucić ptakom? Można i ptakom rozrzucić, można i w słowa powkładać. Odfruną uradowane, żeby po nowe powrócić. Wróć – i słowa, i ptaki – nadzieją skrzydlate jednak – cytuje Krzysik strofy Juliana Tuwima.



– Tak – powiada dalej – przeżyłem wiele, i ten czas umarłby bezpowrotnie, gdyby nie pamięć. To ona każe wracać w jesieni życia do lat minionych, do młodości. Spisując swoje barwne dzieje, oczyma wyobraźni widziałem Wolę Komborską, małą ubogą wioskę wśród gór i lasów położoną, w której się urodziłem, budynek szkoły, swoje pierwsze tam wloty i klęski, sklep nazywany „kółkiem”, przy którym boisko siatkówki wrzało gwarem i wesołością. Widziałem dom rodzinny, zbudowany z drewna w 1925 r., kryty słomianą strzechą. Mamę – stateczną, spokojną kobietę, ojca – znerwicowanego, przedwcześnie wyłysiałego na skutek przebytego tyfusu, i siebie – małe dziecko, na bosaka, w parciance z utkanego domowym sposobem płótna lnianego. I okrutną okupację. Z tamtego okresu nie potrafię wymazać obrazu śmiertelnie zagłodzonych dzieci żydowskich, szukających schronienia w wiosce, wyraźnie widzę egzekucję na dwóch komborskich rodzinach za ukrywanie Żydów. Pamiątką po okupacji są świadectwa szkolne w języku niemieckim (z samymi piątkami) oraz dokładnie wbite w pamięć daty z historii Polski, której uczył nas na szkolnym strychu kierownik szkoły Wojciech Leśniak. A także książki, przyniesione przez ojca w plecaku z rozwalonej przez Niemców biblioteki w Rymanowie – na ich punkcie dostałem tzw. bzika.

Rodzice chcieli oddać Józka do „terminu”, miał zostać krawcem. On, jak wielu chłopców z Woli Komborskiej, miał większe ambicje. Drogę młodym przetał Stanisław Pigoń, syn chłopski urodzony na tej ziemi, który wolał czytać książki niż chodzić za pługiem. Profesor i rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, po wojnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dla wielu tutejszych stanowił wzór do naśladowania. Jego książka „Z Komborni w świat” to był miejscowy elementarz. I Józek rzucił termin. Napisał podanie o przyjęcie na Uniwersytet Ludowy, założony na wzór tych, które istniały przed wojną.

W tym czasie chłonał wiedzę, zaczytywał się w książkach. W Komborni był sekretarz gminy, Adolf Ludwik. Prowadził w wiosce przysposobienie rolniczo-wojskowe. Na zajęciach mniej było przysposobienia, więcej za to ciekawych lektur. Czytało się głównie książki Ferdynanda Ossendowskiego: „Lenin”, „Sieć z czerwonej przędzy”, „Ludzie, zwierzęta, bogowie” – wszystkie o antybolshewickiej treści. Sekretarza gminy namierzył Urząd Bezpieczeństwa, znaleźli u niego zakazane lektury i broszury, i na dodatek obrzyna. Dostał dwa i pół roku. Józka, siedemnastolatka, ubowcy zgarnęli z lekcji, przeprowadzili (bo nie mieli samochodu) do Krosna, gdzie w budynku przy trwogę budzącej ulicy Blicha kilka dni i nocy „nakłaniano” do zeznań. Męczyli go przez długie godziny pytaniami, parę razy obili o ścianę. Głównie chodziło o znalezione podczas rewizji w domu Krzysików list z prośbą chłopca o książki, list wy-

drukowany w amerykańskiej gazecie „Gwiazda Polarna”. Kontakt z Polonią amerykańską nawiązał Józef poprzez Adolfa Ludwika. Dzięki tym kontaktom otrzymywał od „imperialistów” książki drukowane w Detroit w języku polskim. Przyznał się do „przestępstwa”, ale o „wywrotowej” działalności Adolfa naprawdę nic nie wiedział. W końcu mu odpuścili. Wrócił na Uniwersytet, zakończył dwuletnią naukę. Nie był to jednak ostatni akt jego „przygody” z ubowcami. Namierzili go w wojsku, próbowali zwerbować. Na szczęście nastąpił czerwiec 1956 r.

– Poznań – mówi Krzysik – on mnie uratował. Po wojsku pojechałem do Cisnej. Tam byłem gajowym, potem podleśniczym, w 1957 r. przenieśli mnie do Komańczy, gdzie ukończyłem dwuletni kurs księgowości leśnej. Tamtejszy nadleśniczy, rodem ze Skolego na Ukrainie, pił, wyczyniał różne ekscesy, a przy tym okrutnie gnębił pracowników, obrzydając im życie. Był nieusuwalny, bo popierał go sekretarz partii w Sanoku. Nie mogliśmy tego znieść. Ogłosiliśmy strajk. Ale nie przerywaliśmy pracy – założyliśmy listę obecności i w prywatnym mieszkaniu wykonywaliśmy bieżące zadania. Strajk w PRL – to było coś niewyobrażalnego dla władzy. Nadleśniczy szalał, sekretarz partii wyklinał i groził. My byliśmy nieugięci. To wówczas zapadła decyzja, że zapisujemy się do partii. Niektórzy koledzy przestrzegali nas, że z tego będzie się trudno wyplątać. Zrozumienie ostrzeżenia przyszło później, wtedy byliśmy zdeterminowani, świadomi, że bez czerwonej legitymacji niełatwo żyć w kraju. Paradoks tkwił w tym, że doskonale widzieliśmy niegodziwość systemu, deprawację ludzi, niesprawiedliwość i głupotę władzy. Z przynależności partyjnej rzeczywiście trudno było się wyplątać. Tkwiałem w tym interesie, bo otwierał dostęp do pracy w Straży Leśnej. Przestałem być członkiem partii dopiero w 1980 r. I był w tym chyba palec Boży. Jadąc w sprawach partyjnych do gminy, tak nieszczęśliwie upadłem, że noga spuściła od kostki aż do uda. Poczułem straszliwy ból. Wiedziałem, że poprzez ten ból sumienie nakazuje mi: „Zerwij z tym, najwyższy już czas!”. Lewicowe przekonania mam jednak do dziś. Tyle że PZPR nie miała nic wspólnego z lewicowością, a jej naczelne zadanie, wprowadzenie bolszewizmu do Polski, i tak kiedyś musiało się skończyć fiaskiem, bo większość, przynajmniej szeregowych partyjnych, lewicowość pojmowała zupełnie inaczej.

– Dlaczego trzecią część „Różnych kolorów lasu” zatytułowałem „Zaprzysiężona straż lasowa”? – pyta siebie pan Józef. – Znalazłem kiedyś blaszkę z takim właśnie, wygrawerowanym napisem, którą nosili przy mundurze dawni strażnicy leśni na terenie województwa lwowskiego. Bardzo przypadła mi do gustu także rota składanej przez nich przysięgi: „Przysięgam, że zawsze z jak największą starannością i wiernością strzec i chronić będę powierzoną dozorowi memu własność leśną – tak mi dopomóż Bóg.”

Mimo że pracowałem w innej rzeczywistości, starałem się wykonywać swoje obowiązki zgodnie z tą przysięgą. Może dlatego, jako komendant Straży Leśnej, dla wielu byłem postacią kontrowersyjną. Bolała panująca wówczas tendencja, żeby strażników leśnych uważać za pomocników reżimu. Kochałem tę pracę. Starałem się wykonywać zadania po ludzku, karać tylko za rzeczywiste szkody. Przez 20 lat, zarywając noce, narażając się kłusownikom i miejscowym zwykłym złodziejaszkom, którzy nielegalnie wycinali drzewa, chroniłem las przed dewastacją. Do dziś tkwią mi w głowie, troszeczkę jak cierń, słowa szefa gangu złodziei leśnych, charakteryzujące złodziejską mentalność: „Co pan tam wie, komendancie! Ustroje przemijają jeden po drugim. Byli panowie, po nich przyszli komuniści, teraz znów przyjdą panowie, a wieś zawsze będzie korzystać z lasu. Ubyło coś z niego? Nie było nas – był las, nie będzie nas – będzie las. Chłopa zawsze gnębili sługusy i lokaje panów, a wy to kim niby jesteście? Nie tacy sami jak oni? Czego się pan dorobił, komendancie? Ma pan dom, auto? Służ panu wiernie, a on ci za to pierdnie! Nie ukradniesz – nie będziesz miał! Mówiłem panu, jak komu dobremu: żyj i daj drugiemu żyć! Jak była powódź, to kto pierwszy chciał panu pomóc? Ja! Chciałem posłać panu ziemniaków, ale pan odmówił, no bo jak przyjąć pomoc od złodzieja. Woli pan klepać biedę o gołej pensji i patrzeć, jak inni się bogacą? Jak z Iwana robią pana? A teraz to niby dla kogo naród strajkuje i manifestuje? Dla nich, dla panów! Pany sia bijut, a muzykam hołowy terszczat! Jakie drzewo zechcą, to dostaną. A myśliwi co robią? Strzelają zwierzynę, kiedy chcą, a jak ich złapiecie, to wypiszą sobie odstrzał i śmieją się wam w twarz! Co pan myśli, że my tu nie wiemy, jak trawa rośnie i piszczycy?”. Choć czułem w tych słowach swoistą logikę, odpowiedziałem mu wówczas, że obaj wynieśliśmy z domu inne wartości. Mnie uczono żyć uczciwie i takie przekonanie wpajam swoim synom. A urządzenie świata jest takie, że ktoś musi pilnować porządku. Ja pilnowałem go w lesie. Miał ów złodziej rację, że swoją służbą nie dorobiłem się majątku, a za zasługi pewniakiem – jak śmiał się jeden z kolegów – był tylko krzyż brzozy. Ale przeszłości nie muszę się wstydić. Mam poważanie u ludzi, kochaną żonę, trójkę udanych dzieci, wystąpiłem o status pokrzywdzonego do IPN i mimo że w 1994 r. przeszedłem na emeryturę, Nadleśnictwo Krasiczyn z siedzibą w Przemyślu pozwala mi dorobić, zatrudniając na umowę-zlecenie. Czy trzeba czegoś więcej?

Przeglądamy z panem Józefem jego książkę, kartka po kartce. Język opowieści potoczny, dosadny. Sporo jest wulgaryzmów. Mówi, że gdyby ich nie używał, język jego bohaterów byłby sztuczny, wydumany. Z kart wyłaniają się postaci wielowymiarowe, barwne, z czasów młodości Krzysika i późniejsze. Malownicze wioski bieszczadzkie, zdarzenia dramatyczne i zabawne przypominają czas, który bezpowrotnie minął, i krainę do dziś nie całkiem rozpoznaną. Jest trochę cytatów poetyckich (tych w pamięci



Krzysika jest nadzwyczajna mnogość), trochę „słonych” dowcipów, są własne wiersze. I są Bieszczady, zakątek Polski, który autor powieści ukochał, choć ta miłość nie zawsze była odwzajemniona.

– Bieszczady, hej Bieszczady! – wspomina Krzysik. – Na wasz urok nie ma rady! Jak was nie kochać?! Ten wasz niepowtarzalny krajobraz, w serce wpisane rozległe połoniny, doliny i pagóry, potoki czyste jak kryształ i to całe bogactwo fauny i flory! I tylko żal, że odeszli ludzie zamieszkujący region do lat czterdziestych XX wieku. Nie ma już wiosek, jakże gwarnych i barwnych, zamieszka-nych przez Bojków i Łemków. Tylko resztki fundamentów, zdziczałe sady, zaniedbane cmentarze i kopuła starej cerkwi jaśniejąca gdzieniegdzie wśród drzew przypominają o tętniącym tu niegdyś życiu. Nienaruszone zostały góry. Nieme w martwocie swojej, widziały wszystko, co się tu przez stulecia działo.

Drugą miłością Krzysika są książki, przedmioty najbardziej pożądane. Historyczne – te ukochał najbardziej. W domowej bibliotece ma kilkaset pozycji, z którymi żyje na co dzień. Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Mickiewicz, Boy, Szekspir, Dumas – to ulubieńcy. Krzysik „Trylogię” przeczytał kilkanaście razy, a fragmenty „Krzyżaków” i „Pana Tadeusza” potrafi nawet dziś powiedzieć „z głowy”. Miał 16 lat, kiedy z pamięci recytował monolog Hamleta.

– Mam niesamowitą przyjemność – mówi pan Józef – kiedy zdejmuję z półki to, czego w danej chwili potrzebuję. Po kilka razy czytam książki, które weszły mi w krew. O, jest jeszcze taka jedna, którą muszę wspomnieć, zawsze sercu miła – „Księgi dowcipu i humoru”. Jej pierwsze wydanie pamięta czasy austriackie. Sześć tysięcy scenek z tematycznym podziałem. Dostałem ją z Ameryki. Zacytana w domu do granic możliwości, pożyczona komuś, wsiąkla. Kiedy po 1990 r. zobaczyłem jej reprint w księgarni, a nie była to pozycja tania, natychmiast kupiłem. Dowcipy, które tam są: o nauczycielach, księżach, żydach, złodziejach, adwokatach i sędziach, ciągle śmieszą do łez.

– Cóż o sobie mogę jeszcze opowiedzieć? Jeśli kogoś zainteresuje moje życie, to sięgnie po „Różne kolory lasu”. Mam nadzieję, że może kiedyś jakieś wydawnictwo je wydrukuje. Dodać mogę na koniec, że urodziłem się z katarem i akuszerka wioskowa orze-
kła: „On długo nie pożyje”. Chwalić Boga, żyję już 75 lat i mam się całkiem dobrze.



8. Karykatura wszystko zniesie

Karykatura wymaga talentu i doświadczenia w rysunku, i pomysłów. Ale gdy się to wszystko ma, to można rysować choćby na kolanie – ołówkiem, pędzlem, nawet rylcem na papierze, kredką na asfalcie, czy – jak to czasem czynił uczeń Norblina, Orłowski – knotem świecy woskowej, rozgniatając kopeć palcem. Karykatura wszystko zniesie. Paroletni Jacek Frankowski tego świadomy nie był, kiedy na czworakach gramolił się do szafy – o zgrozo, z kopiowym ołówkiem w ręku. Ale niezmywalne rysunki, którymi całymi godzinami zdobił drzwi szacownego mebla i jego ściany, zdradzały rodzącą się u przyszłego karykaturzysty pasję rysowania. Tej szafy już nie ma, zagubiła się gdzieś podczas przeprowadzek, w które obfitowało jego dzieciństwo, przepadł kopiowy ołówek, którego śladów nie da się usunąć na sucho, bo wżera się w tworzywo, a zmywany pozostawia trwałe, fioletowy ślad. Na szczęście „w toku wydarzeń” nie zagubiły się talent Jacka i jego pasja malowania.

W dzieciństwie uwielbiał rysować zwierzęta. Rysunki zwierzątek podsuwał pod nos mamie i w napięciu obserwował, czy je rozpozna.

– Proporcje dla dzieci nie mają wielkiego znaczenia – mówi Jacek. – Kot i słoń mogą mieć jednakowe rozmiary. Trzeba je charakteryzować w inny sposób. I mnie się to udawało – zwierzęta były rozpoznawalne.

W szkole podstawowej nie zabłysnął jako rysownik. Tematy, które proponowali nauczyciele, rysowanie żelazka czy innych martwych przedmiotów, nie budziły jego zainteresowania. Wygrywał, co prawda, jakieś konkursy na plakat, zyskiwał uznanie za dekoracje, które projektował, ale ogólnie rzecz biorąc, szkolne rysunki „odwalał”, uzyskując z tego przedmiotu zaledwie oceny trójkowe. Jako rysownik rozbudził się na dobre dopiero w szkole średniej i od razu zaczął odnosić sukcesy.

– Sukcesy w cudzysłowie – uśmiecha się artysta. – Ponieważ rysowałem karykatury moich kolegów, różne afery z tego wynikały. Puszczanie kartek po klasie rozpraszało uczniów, odrywało uwagę od lekcji. Kiedyś historyczka przejęła taki zestaw karykaturek i przekazała go wychowawcy. On wszedł do klasy, ze srogą miną wyciągnął nieszczęsne kartki, spojrzął na nie. Zamarłem. I nagle usłyszeliśmy chichot. Już wiedziałem, że co najwyżej będzie reprimenda. Bywałem też przyłapywany na rysowaniu karykatur

nauczycieli, ale nie przypominam sobie nieprzyjemnych reperkusji z ich strony. W Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Reja w Kraśniku kadra profesorska miała poczucie humoru.

– Czy zdarzyło się panu oberwać od kolegów za „dorabianie im gęby”? – pytam.

– Nie, to była zabawa – mówi pan Jacek. – Nawet jeśli któryś z nich uważał, że karykatura zbyt go ośmiesza, bawił się setnie, gdy oglądał inne. Józek Szczepański nawet namawiał, żebym wysyłał swoje rysunki do gazet, ale ja nieodmiennie ripostowałem: nie mam szans, gazety są dla profesjonalistów, a takich jak ja są tysiące. Nawet nie spróbowałem. Wszystkie rysunki szły do szuflady.

Rysowanie wciągało, pochłaniało. Ale świat wokół był pełen innych tajemnic i tyle przed młodym człowiekiem było do odkrycia. Ciekawa była historia, fizyka, ba, nawet budowanie okrętów, które w kolejnej zmienianej ankiecie, irytując pedagogów, zadeklarował do studiowania. Na szczęście, kuzyn i ten wybór wydrwił i poddał pod rozwagę leśnictwo. W liście napisał: „Leśnik – to dopiero zawód! Mieszkasz sobie na obrzeżu lasu. Obserwujesz cudowne wschody i zachody słońca, przeloty dzikich gęsi...”. Tak barwnie ten zawód odmalował, że Jacek uległ i dosłownie w ostatnim momencie „okrętową” ankietę wycofał. Papiery trafiły na Wydział Leśny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Kiedy dużo później kuzyn, Zbyszek Stokarski, grzebał w starych dokumentach, ustalił, że tradycje zawodu leśnego sięgają w rodzinie Frankowskich bardzo daleko i głęboko. Przodek, prapradziadek Szymon Frankowski, w „metryce małżeńskiej” z 1846 r. wpisany miał zawód: oficjalista leśny. Leśnikami byli także: dziadek artysty, bracia dziadka, stryjowie i kuzyni. Tylko ojciec przed wojną był urzędnikiem magistrackim, a w czasie wojny – kupcem. I, jak życie pokazało, w dziesiątkę tym zawodem nie trafił. Niewiele się nim nacieszył. W Polsce po 1945 r. nie kochano kupców, domiarami doprowadzając ich do bankructwa. I Kazimierz Frankowski zbankrutował. Założył wówczas firmę transportową – kupił dwa wozy i konie. Pracy na miejscu nie było, rodzina Frankowskich wywędrowała więc z Broku nad Bugiem, gdzie były ich korzenie i gdzie urodził się Jacek, i przemierzała lubelskie szlaki za firmą, która najpierw w Świdniku, potem w Kraśniku obsługiwała socjalistyczne budowy. Tymczasem przywaciarze nadal byli solą w oku ludowej władzy. Kiedy uzupełniono tabor państwowy o ciężarówki i traktory, samodzielnych transportowców zaczęto gnębić – ojciec Jacka kolejny interes zwinął. Ale na państwowe nie poszedł. Zatrudnił się jako agent w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców. Rodzina nowe korzenie zaczęła zapuszczać w stolicy.

Pierwszą pracę po studiach Jacek Frankowski podjął w Zakładzie Ochrony Przeciwpożarowej Instytutu Badawczego Leśnictwa. Biurko i temat: „Turystyczne zagospodarowanie lasu” przejął tam po Andrzeju Wiśniewskim, też absolwencie Wydziału Leśnego

SGGW, który właśnie zdał na Akademii Sztuk Pięknych. Aura tego biurka musiała być bardzo silna, skoro i on zaczął skłaniać się „na poważnie” ku rysunkowi. Do tej pory robił głównie karykatury portretowe. Pierwszą osobą, która zachęciła go do zmierzenia się z humorystyczną scenką, był Andrzej Mleczek. Ulegając fascynacji tym, czym zajmował się ów artysta, pan Jacek wykonał kilka żartobliwych rysunków. I, jak zwykle, schował do szuflady.

– Ośmielił mnie dopiero zamieszczony w gazecie obrazek autorstwa „kolegi zza biurka” – mówi. – Pomyślałem: jeśli gazeta zamieszcza rysunki absolwenta Wydziału Leśnego, jeszcze nie artysty (był dopiero na I roku ASP), to i ja mogę spróbować.

Zaniósł dwa: do „Lasu Polskiego” i do „Słowa Powszechnego”. Oba zostały przyjęte. Był to rok 1974. Dla asystenta, którego pensja w Instytucie była skromna, honorarium za rysunki to był niezły zastrzyk finansowy. Powoli rysowanie stawało się dla Jacka coraz bardziej znaczącym zajęciem zawodowym. Lata osiemdziesiąte, stan wojenny, to okres przerwy w publikowaniu. Decyzję o tym, że z rysunku będzie się utrzymywał, podjął w roku 1989. To był rok wybuchu demokracji w Polsce i, co dla karykaturzysty miało wielkie znaczenie, rok upadku cenzury. Mimo że na rynku prasowym był już osobą zapomnianą, udało mu się w końcu w 1990 r. złapać wiatr w żagle.

– To zasługa Grzeška Szumowskiego – mówi artysta. – Ten wybitny karykaturzysta, nie mogąc wywiązać się z zamówień, złożył mi propozycję wykonania projektów lalek do telewizyjnej szopki noworocznej. Co za fart, jaka radość! Dostałem w prezencie temat, który dał mi niesamowity napęd i okazję do wykazania się. Zrobiłem projekty, kolega z Teatru Lalka wyrzeźbił je w styropianie, potem było oklejanie papierem i malowanie. To była pierwsza szopka nie cenzurowana, nie lukrowana, prawdziwie satyryczna, autorstwa Marcina Wolskiego i Marka Majewskiego. Została znakomicie przyjęta. Otworzyła mi drzwi do redakcji wielu tytułów prasowych. Najbardziej ucieszył dostęp do tygodnika „Szpilki”, z którym współpracowali najlepsi polscy satyrycy.

Po tej szopce były kolejne dwie, wielkanocna i historyczna na 22 Lipca. Zaczął się też rodzić pomysł telewizyjnego programu satyrycznego – „Polskiego ZOO”.

– Początkowo nie ja miałem być projektantem lalek do tego programu, tylko Jerzy Kalina – mówi Jacek. – Ale, jak to z wybitnymi artystami bywa, nie nadążają z terminami. I tak zamówienie trafiło do mnie. Pamiętam, że najwięcej problemów było z pierwszym projektem lalki lwa, którego pierwowzorem był Wałęsa. Nietrudno dorobić grzywę do twarzy człowieka, ale przecież nie o to chodzi. Deformacja osoby powinna iść w kierunku zwierzątka, zbliżonego do niej osobowością i temperamentem.

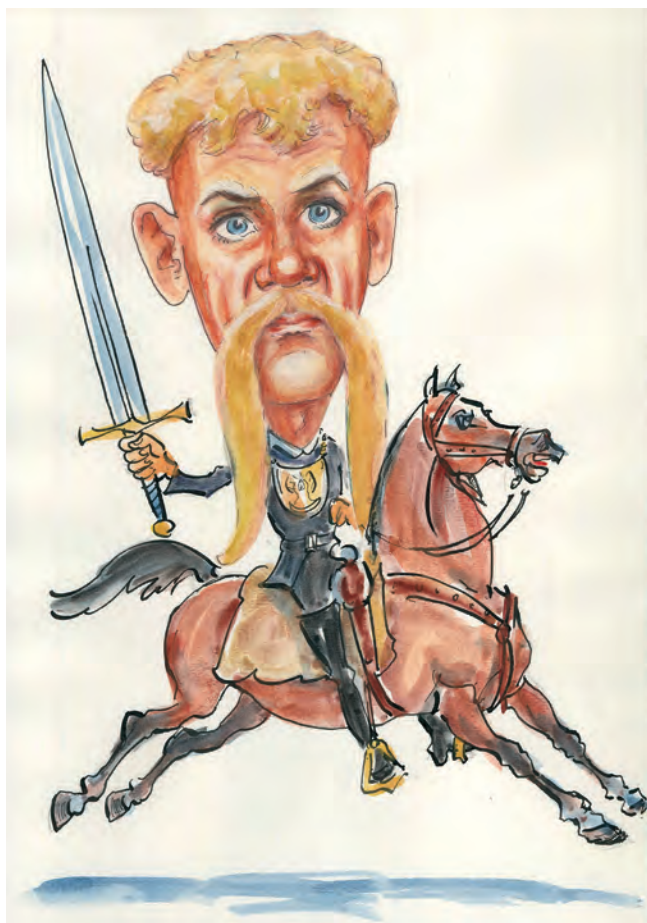


I zwierzątko musi być rozpoznawalne, i bohater. A u Wałęsy ani wąsy nie takie, ani spojrzenie groźne. Żaden z niego lew. Ale autor szopki, Marcin Wolski, uparł się. W pewnym momencie nawet chciałem się wycofać, ale żona szybko mi to wyperswadowała. Ślęczałem więc i ślęczałem, wreszcie się udało. Lew nabrał cech Wałęsy, żółw – Mazowieckiego, a bóbr – Skubiszewskiego. Lalki zostały przez zespół zaakceptowane i ruszyło. Sukces programu przeszedł oczekiwania wszystkich. Oglądalnością przebił nawet ówczesny telewizyjny hit – „Dynastia”. Każdy pomysł ma jednak swój kres, kiedyś się wypala, i tak też było z „Polskim ZOO”. Ale pozostało po nim coś, z czego artysta jest dumny – „Złota Szpilka” za projekty lalek do programu. Odznaczenie, o którym marzył każdy karykaturzysta.

Kiedy pytam o osobę, którą najczęściej rysował, artysta wymienia Wałęsę. Jacek popełnił kilkadziesiąt karykatur i rysunków niedwudziestego wodza legendarnej „Solidarności”, późniejszego prezydenta kraju. W swoim czasie dostarczał on rysownikowi niesamowitą liczbę tematów i pretekstów. Teraz tych karykatur wychodzi coraz mniej, bo Wałęsa jakby zszedł trochę z głównej sceny politycznej, niemniej pozostał w pamięci artysty jako najwdzięczniejszy model. Kiedy po emisji programu „Polskie ZOO” Wilhelmina Skulska, dziennikarka ówczesnego (krakowskiego) „Przekroju”, poprosiła polityków o opinię dotyczącą ich wizerunku, okazało się, że tylko jeden człowiek zaakceptował go bez zastrzeżeń – Wałęsa. Chomiki nie były zadowolone ze swoich futerek, a ludzie z Unii Wolności podejrzewali, że program jest robiony na zlecenie Belwederu, co było oczywiście nieprawdą. Wtedy, gdy rodził się program, Wolski z Wałęsą nie miał jeszcze żadnych kontaktów.

– Rysunki robione na konkretny i aktualny temat sprzedają się jak świeże bułeczki, ale starzeją się szybko, odchodzą w niepamięć – mówi Jacek. – Rysownik, by żyć jak artysta, być „na topie”, musi brać na warsztat uniwersalne tematy, które nierzadko funkcjonują wiecznie. Mam w swoim dorobku rysunek-ewenement – „Gesty polskie”. Powstał w 1989 r. tuż po upadku cenzury. Opublikował go tygodnik „Solidarność”, któremu szefował wówczas Jarosław Kaczyński. Jest na nim z lewej Jaruzelski, z prawej Wałęsa, pośrodku nasz Papież. A między nimi: Glemp, Mazowiecki, Rakowski, Kwaśniewski, Urban i Kuroń. Ten rysunek do dziś funkcjonuje, mimo iż rysowany był pod aktualny wówczas temat. Pokazuje bieg naszej współczesnej historii.

Żeby po telewizyjnych „hitach” nie dać się zaszufadkować, artysta starał się poszerzyć swój warsztat. Wziął się za ilustracje, choć w tej dziedzinie, jak mówi, nie odniósł wielkich sukcesów. Doświadczenia były jednak ciekawe. Choćby z ilustracjami, które wiązały się z ekranizacją „Ogniem i mieczem”. W roku filmowej premiery, Jacek zyskał ze strony Ludowej Spółdzielni Wydawniczej



1



2

(LSW) propozycję zrobienia książeczki, w której miały być karykatury aktorów biorących udział w filmie oraz polityków, którzy mogliby te role zagrać. Zestawienie realnych aktorów i polityków okazało się zabawne, książeczka miała promocję w Muzeum Karykatury i do dziś te karykaturki funkcjonują przy okazji jakichś sienkiewiczowskich czy hoffmanowskich rocznic. Bardzo pociąga Jacka rysowanie dla dzieci i „dla historii”.

– W 2006 r. robiłem ilustracje do książek Waława Gąsiorowskiego „Huragan” i „Szwolężerowie gwardii” – mówi. – Podszedłem do tego z pasją, bo były to lektury, którymi zaczytywałem się w latach chłopięcych. Byłem zdumiony i bardzo rozczarowany, i wydawców spotkał zawód, gdy napoleoński cykl nie zyskał zainteresowania rynku. Nie zdawałem sobie sprawy, że gusty dzisiejszych nastolatków są tak inne niż moje. Kapitalna jest ilustracja dziecięca. Musi być urokliwa, barwna i, co bardzo istotne, precyzyjna. Kiedyś poprosił mnie znajomy naukowiec, żebym zilustrował wierszyki, które on sam napisał dla wnuków. Był taki jeden o ZOO. W jakiś czas po wykonaniu pracy, ów dziadek zadzwonił do mnie z reklamacją. Co się stało? – pytam. Okazało się, że dzieci, oglądając ilustrację, dokładnie sprawdzały, czy są tam wszystkie zwierzątka, które widziały w ogrodzie. Słoń jest, żyrafa jest, lew jest – nie ma rysunku lamy i węża. Jest reklamacja! Musiałem uzupełnić. Na innym obrazku, ze względu na proporcje, nie mogłem umieścić maleńkiej żabki. Dla dzieci jednak proporcje nie mają znaczenia. Gdzie ta żabka? – męczyły dziadka. I żabka – zielona plamka – musiała być zaznaczona na planie.

Kiedy pytam o tajniki warsztatu karykaturzysty, artysta odpowiada:

– Każda kartka to nowe doświadczenie, każda twarz ma swoją tajemnicę, do której rysownik dotrze lub nie. Gdyby były schematy, to załatwiłby to program komputerowy, wystarczyłoby tylko przesunąć na twarzy proporcje. Karykatura jest wówczas dobra, kiedy wydobywa to „coś” z człowieka, gdy się mówi: jest jak żywy, choć jest to konstrukcja zdeformowana.

– A czy karykaturzysta ma specyficzne spojrzenie na świat?

– Czasem wydaje mi się – mówi rysownik – że odkrywam jakiś absurd, a potem okazuje się, że ten idiotyzm w życiu funkcjonuje jako coś normalnego. Niekiedy politycy konkurują z satyrykami. Przed laty zrobiłem rysunek, na którym żona mówi o swoim mężu: „Stasiek wymyślił genialny program, żeby wszystkim było lepiej, ale nie startuje, bo ma poważniejsze sprawy na głowie”. A on mecz ogląda. Myślałem, że nikt nie pokusi się wykorzystać hasła „żeby wszystkim było lepiej” do jakichkolwiek realnych celów, bo przecież to banał. A na tym hasle Platforma Obywatelska zbudowała swoją kampanię. Wiemy, na przykład, ile problemów



dotyka polskie dzieci, ile jest biedy i nieszczęść. A tu okazuje się, że najważniejszy jest kolor torebek, jakie noszą Tubisie. Takich przykładów są tysiące. Często satyrycy czują się zapędzeni w kozi róg przez polityków, czasem po prostu nie dają się nadbudować dodatkowego piętra absurdu nad tym, co oni robią.

– A co z poczuciem humoru karykaturzysty?

– Karykaturzyści są ludźmi wyciszonymi, pracują w zaciszu pracowni, tam powstają rysunki, które potem idą do gazet. Nie muszą tryskać humorem. Cenny jest ich wewnętrzny humor, który sprawia, że odkrywają paradoksy, dostrzegając w nich coś zabawnego. Humor muszą nosić w sobie. Jest wielu znakomitych polskich karykaturzystów, których podziwiam, którzy aż kipią żartobliwymi pomysłami. Andrzej Mleczek, który mnie sprowokował do rysowania zabawnych scenek, Gwidon Miklaszewski ze swoim cyklem z syrenką, Ałaszewski – karykaturzysta sportowców, profesor Stanny i jego malarskie pocztówki z żartem. Są Czeczot, Jujka, Sawka. Przyznaję, że wszyscy mnie fascynują. Podziwiając prace znakomitych artystów, można stać się mimowolnym ich naśladowcą. Od tego uciekam. Chcę być rozpoznawalny jako Frankowski. Polscy satyrycy są znani i doceniani w świecie. Podam drobny przykład z autopsji. W 2000 r. razem z Raczkowskim, Kołaczkiem, Januszewskim i Owczarkiem zaproszono mnie do udziału w międzynarodowej wystawie Courier International w Rouen, we Francji. Podeszła do mnie pracownica znakomitego roueńskiego muzeum sztuki i bez cienia kurtuazji powiedziała: „Najbardziej podobają mi się rysunki Polaków. W waszych żartach nie widać pogoni za tym, by za wszelką cenę kogoś rozśmieszyć – jest refleksja”. Takie słowa, usłyszane od profesjonalistki z muzeum szczycącego się zbiorami najwyższej próby, były dla nas wielką satysfakcją.

– Mówi się o rysownikach-karykaturzystach, że to „lekkie piórka, a tęgie głowy”.

– To ładne określenie – odpowiada artysta. – Lekkość i prostota mają wielkie znaczenie dla wyrażenia pomysłu. Wśród karykaturzystów i rysowników satyrycznych bardzo mało jest absolwentów akademii sztuk pięknych, natomiast są ludzie różnych zawodów. Wynika to z tego, że nie wystarczy dobrze rysować, zachowywać proporcje i wszystkie inne walory składające się na piękne dzieło. Trzeba mieć wiedzę o świecie, która pomaga w widzeniu tego, co się dookoła nas dzieje. Jako rysownik, bardzo sobie cenię moje studia leśne. Mądrze mnie tam edukowano. Nie uczono, na przykład, skrajnego podejścia ani do ekologii, gdzie wszystko jest pod ochroną i niczego z przyrody nie można uszczknąć, ani uzasadnienia dla presji cywilizacyjnej, czyli do zabetonowania całego świata. Program studiów te dwie skrajności harmonizował, szukał między tymi nurtami równowagi.

Dlatego, mimo iż Jacek Frankowski „poszedł w artysty”, nie odciął się od leśnictwa. W Ośrodku Kultury Leśnej w Gołuchowie pełni funkcję specjalisty do spraw sztuki. Poszukuje, między innymi, ścieżek do odkrycia losów przedwojennego dyrektora Lasów Państwowych, Adama Loreta. Zajmuje się też formalnościami związanymi z budową jego pomnika. Pracuje poza tym nad wystawą dorobku Ludomira Benedyktowicza, leśnika-malarza, bardzo pięknej postaci, który stracił ręce w powstaniu styczniowym i już jako inwalida malował w plenerze przepiękne pejzaże. Jednym słowem, Jacek „odkrywa leśnych artystów” i popularyzuje ich sztukę. Ma też takie marzenie, by stworzyć leśną galerię, gdzie z portretów będą spoglądać na zwiedzających wybitni ludzie lasu.

Sam zarażony leśnym bakcylem, rodziny nim nie zaraził. Żona Elżbieta ma smykałkę artystyczną, przez wiele lat z sukcesem zajmowała się produkcją ubrań według własnych projektów. Córka Dominika skończyła architekturę krajobrazu, syn Adrian studiuje grafikę na ASP. A wnuki, Julcia i Patryk?

– Wnuki pójdą swoją drogą – śmieje się artysta.

„Kraj lat dziecińczych, on zawsze zostanie, święty i czysty jak pierwsze kochanie”. Taki jest dla Jacka Frankowskiego Brok nad Bugiem. Tu się urodził, tu każde wakacje spędzał w obszernym „gnieździe” Frankowskich, które dopiero po śmierci babci przeszło w obce ręce. Tu, nad Bugiem, jest serce artysty i tu wraca. W tym urokliwym miejscu znalazł gajóweczkę przytuloną do pięknego lasu. Opodal jest czarująca kępa wiązów, pyszni modrzew stusiedemdziesięcioletni. Dalej meandruje rzeka. Upatrzył sobie tę leśną osadę na pracownię i na miejsce spotkań leśników z młodzieżą i artystami. Może i na zielone szkoły? Chciałby w tym jeszcze nie-skażonym przez cywilizację zakątku, poprzez kontakt ze sztuką, uwrażliwiać młodych ludzi na problemy przyrody. Wie, że jeśli ktoś dostrzeże jej piękno, to niekoniecznie wywiezie śmieci do lasu, nie wyrzuci zdezelowanej kanapy do rowu, nie zatruje odpadkami zwierzyny. W Broku jest coś magicznego, jakaś szczególna aura. Może bioprądy? Kto raz go zobaczył, ten ciągle wraca. Artysta pragnie urok tego miejsca, tak dobrze zapamiętany z dzieciństwa, zachować i upamiętnić.

Jacek Frankowski lubi pracować społecznie, bo społecznikostwo, jego zdaniem, przyciąga wartościowych ludzi, z którymi da się góry przeskoczyć; cwaniaczki od tego uciekają. Na zaproszenie Eryka Lipińskiego współpracował przy tworzeniu Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury. W 1987 r. był sekretarzem Walnego Zebrania SPAK (ministrem kultury był wówczas Aleksander Krawczuk), a potem nawet jego prezesem. Jest członkiem Kapituły Orderu Uśmiechu, członkiem jury ogólnopolskich przeglądów twórczości artystycznej leśników, tzw. OPTAL-u. Startował jako kandydat niezależny do Senatu z województwa ostrołęckiego,

a więc z obszaru, z którym emocjonalnie jest związany. Uzyskał najlepszy w tej grupie wynik jako kandydat niezależny, piąte miejsce, liczbą głosów wyprzedzając znakomitych kandydatów z innych partii. Piąte miejsce nie dało wstępu na Wiejską, a mimo to tamten czas artysta wspomina jako ciekawe doświadczenie. Szczególnie bliski kontakt z ludźmi z małych miejscowości – szczerymi, życzliwymi. I ten niepowtarzalny urok wielu zakątków ziemi kurpiowskiej, którą w czasie kampanii wyborczej zjeździł wzdłuż i wszerz.

– Jestem także strażakiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Broku – mówi – i szczerę się tym. Nie uczestniczę w akcjach, nie gaszę pożaru, ale „jestem za”. Straże pełniły ongiś wielką rolę krzewiciela kultury w ośrodkach wiejskich, dzięki strażackim orkiestrom dętym młodzież uczyła się nut i gry na instrumentach. Teraz to wszystko upada. A szkoda.

Jacek Frankowski należy do grona najlepszych karykaturzystów w naszym kraju. Przede wszystkim lubi portretować ludzi. Jego żarty dotyczą niemal wszystkich. Rysuje aktorów, dziennikarzy, polityków, postaci historyczne i współczesnego życia publicznego, sportowców, ale także zwykłych obywateli. Jego miniaturowe scenki z rzeczywistych wydarzeń, ukazane w krzywym zwierciadle, są o tyle śmieszne, co zastanawiające. Zmuszają do refleksji. Swoje prace eksponował na blisko 200 wystawach indywidualnych w kraju i za granicą. Na jego krajowych wernisażach nie brakuje młodzieży. Artysta bardzo chętnie wówczas opowiada o swojej pracy, sypie dowcipami i anegdotami. I często rysuje „na gorąco”. Karykutował bohaterów w telewizyjnej „Godzinie szczerości”. W tygodniowym przeglądzie wydarzeń, w trzecim programie TV, mistrzowską kreską smagał i komentował na żywo przeróżne dziwności naszego życia. Obecnie współpracuje z redakcją nSport Telewizji Nowej Generacji.

W Warszawie przy ulicy Koziej mieści się Muzeum Karykatury. Tam można pękać ze śmiechu – kiedyś już przy szatni, oglądając się w krzywym zwierciadle w czasie zdejmowania płaszcza (ale lustro krzywe po remoncie zniknęło), a potem na salach wystawowych, patrząc na ekspozycje. To jedyne muzeum, gdzie salwy śmiechu nie są postrzegane jako brak kultury. W zbiorach tego muzeum, a także w zbiorach kilku innych „sanktuariów sztuki” znajdują się prace Jacka Frankowskiego (twórczość Jacka można też zobaczyć w Galerii Internetowej pod adresem: www.franek.pol.info.pl).